

# KAMENA

## DWUTYGODNIK LITERACKI

**W NUMERZE:** Tradycja i przyszłość • Dynamiczna uczelnia • Od Manifestu do książki • Aplauz dla Filharmonii • Ludowi herosi • Zygzaki teatralne • Chronimy przed niepamięcią • I in. **DZIAŁ PLASTYCZNY STRUKTURY**

### KILOGRAM CHLEBA

**najdroższe honorarium w moim życiu**

**EWA**

**SZELBURG-ZAREMBINA**

Dnia przypomnieć nie mogę, ale pamiętam dokładnie godzinę: parę minut po szóstej wieczorem. Za oknem lazienki ciemno, śnieg. Bo miesiąc był — luty roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego — ściślej — początek tego miesiąca.

Niewiele dni przedtem krakowskie gestapo hulało na podtatrzu na gościnnym występie, wyłapując sprzed nosa tutejszego gospodarza, czyli gestapo nowotarskiego, ludzi z warszawską kennkartą, gdziekolwiek by się oni ukrywali: od niedostępnych dziur za Murza Sicha po Krupówki.

Gestapo zakopiańskie, urażone w suwerenności, współdziałało na złość konkurencji raczej opieszale. Jednak wspólnymi siłami osiągnęli połów obfity. Tyle, że oka sieci trzymały niezbyt mocno i wiele zdobyczy umknęło rybakom o trupich głowach.

Kogo wykupiono przy pomocy górall już nie za „górale\*\*), ale za złoto, zegarki, pierścionki...

Kogo wyciągnięto zwyczajnie przez tylne okna nad szumiącym potoczkiem... kogo wyprowadzono z biogostawioną opaską czerwonego krzyża...

...kto karetką szpitalną na Gubałówkę do szpitala odtransportowany, na stole operacyjnym dwie doby leżąc, na rzekomą operację czekał...

...kto już z transportu do Rzeszy, z pociągu w drodze, przed stacją w Markowie skakał...

...ale i tacy byli, którzy, nie wyskoczywszy w porę, dalej pojechali i — z tych mało kto potem wrócił.

Tak było.

A w parę dni po tej generalnej łapanie wiedziliśmy już: ostatnia była. Koniec. Koniec z hitlerowcami.

Już nie ze szpitalną karetką, już nie w fartuchu sanitariusza, muzyk Piotrusz Perkowski z kościeliszczanką Antonią Drożdżykówną, ale w góralskich sankach, lwowski zakopiańczyk architekt Marian Wimmer z moim mężem zajeżdżają po mnie przed szpital „zwyczajnie”, tyle że z podwójną ilością baraniec, aby w razie czego przykryć mnie nimi z głową, ukryć. Ale to już tamci złodzieje nie mieli głowy w gorącym, jaki przyszedł, czasie. Do ni-

czego nie mieli głowy — prócz do wiania.

Z korytarza operacyjnej sali znikł jeszcze w nocy warujący tu posterunek gestapo i lekarz (volksdeutsch, ale ten niech spokojnie w ziemi polskiej spoczywa) zdjął mnie z operacyjnego stołu spod maskujących rzekomy zabieg prześcieradeł.

Wracałam więc do domu Pod Gwiazdami (jeszcze wtedy mieliśmy taką chałupkę w lesie pod Giewontem — już nie mamy), wracałam na pozór wolna. Tak, to już nie ci sami butni prześladowcy. Ani im teraz w myślach stoi kończyć polowanie na ludzi — sami czują się ściganą zwierzyną.

Przez parę następnych dni mogliśmy bez przeszkody oglądać widowisko wyjątkowe przez sześć lat, długich lat wieczności. Dla mnie i dla wszystkich nas spod Giewontu skupiło się ono na maleńkiej scenie: ulica Zamojskiego, Krupówki, Nowotarska, Kościeliska.

Tumult przemarszu. Ale jakiego! Żadnych wspaniałych maszyn produkujących seryjną błyskawiczną śmierć i zniszczenie i śmierć wspomagających. Furki. Same furki. Siekaki widoku! Wozy z drabkami, wozy gnojnicę zaprzężone w konie! W konie? W chabety, w szatapy, w konie! Ogony chyba tylko! I w końcu odparzoną skórę na kościach. Broń? Teraz to narzędzie mordu (bo nie do obrony służące napastnikom „choc” „bronia” w naszym języku nazwane), jeden jego rodzaj pospolicie, żołnierski karabin, stał się kijem dziadówskim, tak jak i żołnierz „herrenvolku” stał się dziadem.

Oto idą ławą groteskowi pielgrzymi w odzieniu, które straciło na nich wygląd mundurów, chociaż wciąż jeszcze jest mundurem... Który może chwycić się ręką drabek czy desek woza, chwytając drugą ręką wlokąc za sobą po ziemi żelastwo z drewnem związane... Który wprost karabinem unurzonym w śniegu i błocie, jak mało poręcznym kijem, ale się, okulały, podpięra, bo nogi mierzące śniegowe krupy z deszczem na rzadkie śliskie błoto, ustają w dziadówskim marszu maruderów. I gotowe w ogóle nie iść. Nie iść, dokąd? Dokąd nie iść?

Te ulice, te zakopiańskie drogi prowadzą już teraz do jednego tylko — do zastępnego zięgo końca.

Nie, jeszcze nie myśliśmy o niczym innym, tylko o tym końcu ich krwawej, nas wykrwawiającej przez sześć lat, dzikiej awantury.

Na chodnikach, wzdłuż błotnisto-śnieżnej jezdni, nieczuli na przenikliwe zimno godzinami stoimy bez ruchu patrząc, patrząc, patrząc. Od tego patrzania, rzecz nie do wiary, zaczynają mięknąć w ludziach serca.

— Wróg — mruczy ktoś za moimi plecami — rozumie się, że wróg i niech szczeni. Ale na co im przyszło? Toć to talatajstwo nie tylko do wojska, ale do ludzi nie podobne.

— I skąd takich starych kurdupli i niedojdów nabrali? — odzywa się czyjś głos inny.

Rzeczywiście wśród wlokących się żołnierzy przeważają stare, ziemiste, pokryte nie ogolonym zarostem twarze, nierzadko podwiązane wełnianymi szalikami, bandażem brudnym bielejące.

Wyskoczyła na jezdnię do Niemców grupka dzieci: chłopców dziesięcio-jedenastoletnich. Przygrają małymi pięściami, wrzeszcząc całkiem paskudne wyrazy w twarze maszerujących. Wśród ludzi przyglądających się z

chodnika zgorzenie i głośnie przyzwanie dzieci „do porządku”:

— Zostawcie ich. Wstyd. To już nie ludzie, to przecież... szajsza.

W pierwszej chwili jestem zaskoczona tym publicznym odruchem pogardliwego miłosierdzia, ale natychmiast olśniewa mnie myśl, że wywołane jest ono całkowitą, nieomylną pewnością ofiar, że oto przestali być ofiarami, pastwą bezprawia.

Nie dając się określić, a jednak wyraźnie oczyszczająca kąpiel zalała te dobre dusze, nurzane tak długo w bezsilnej wsłabłości, w rozpacz i w strachu! Wracałymi wszyscy gromadnie w atmosferę człowieczeństwa.

Jak długo to wszystko trwało? Parę? Kilka dni, wypełnionych strzałami gdzieś w górach, bliższymi, wciąż bliższymi? Ani rusz nie mogę przypomnieć! Sprawdzając nie wydaje mi się potrzebne. Czas jest rzeczą tak względną. A jeszcze we wspomnieniu... I w takim!

Ważne, że było późne popołudnie, a ja popatrzywszy na zegarek, powiedziałam do Józka. — Jest szósta, czas, żebyśmy poszła do Krupowskich po mleko, bo potem może w ogóle nie da się wyjść dalej. Po zapalczącej strzelaninie zrobiła się taka cisza, że może coś się szykuje blisko.

Ale ledwie weszłam do lazienki, żeby wypruć jedyny jaki mieliśmy naddłuzony garnet, usłyszałam przez okno, z dołu, sprzed domu wołanie, od którego zdawało mi się, że znikł i znowu urodził się świat.

— Jesteśmy wolni! Ewa, Józek, jesteście wolni!

Dziś, tu, gdy je kładę na papier, te słowa: „jesteśmy wolni” wydają się nieznośne patetyczne, sztuczne. Ale wtedy! Wtedy nie było prostszych od nich, prawdziwiej brzmiących, wierzcie.

Pchnęłam okno pięściami, jakby to był mur! Pod oknem w kopnym śniegu (tu był przecież las) i w ciemności podwójonej (bo i smutki kładły tu swój gruby cień prócz wczesnego zmroku), stał — Marian ze Stachą, zakopiańczy bliżej śródmieścia mieszkający, stąd wcześniejsi posiadacze wielkiej nowiny.

Józek już szarpał się na dole z drzwiami.

— Partyzanci nas wyzwolili... weszli pierwsi... od Gładkiego! Partyzanci sowieccy! Wojska regularnego jeszcze nie ma, ale lada godzina mogą być! Partyzanci są na Krupówkach! — powtarzali w gorączce Marianostwo.

Wybiegliśmy do nich z domu jak wariaci i razem szliśmy w pośpiechu do śródmieścia.

Rzecz jasna, tego wieczora nie było w domu Pod Gwiazdami kolacji (mleka od Krupowskich nie przyniosłam).

Bronia Ziembowa, gazdująca na Gładkiem, opowiadała mi potem, jak było z wejściem partyzantów u nich na górce:

— Jeszcze po tamtych, po Niemcach znaczą się, droga nie ostygła, a patrzyć! ci już są kupą. I tak, jakby na tańce szli, weseli, ze śpiewem. No, prawdziwie, jak się u nich mówi, „mołodecy”. Ani się zatrzymali, ani odpoczęli, tyle że mleka świeżo udojonego wypili i chleba, co był w mieszkaniu, pojedli. I za tamtymi lecieli, gonili! Tyle ich i widzieliśmy — kończyła wciąż jeszcze tym spotkaniem osłupiona.

Nazajutrz, choć — nie, to musiało być już później, zobaczyłam pierwszego

(Dokończenie na str. 4)

### Miasto dwóch wzgórz

**KRYSTYNA PAŁYS**

Historia upodobała sobie to wzgórze, wymieniane w najstarszych kronikach, które powiadają, że gród Chełm zapożyczony od niego nazwę. W dzisiejszym mieście Chełmie nazywają je Górka, jakby chodziło o pierwszy lepszy pagórek, nie słup graniczny dziejów. Górka stanowi dominujący akcent w tutejszym płaskim krajobrazie. Z którejkolwiek strony zbliżasz się do Chełma, wyrasta ona z daleka na horyzontie jak podniebny drogowskaz, z sylwetką kościoła na szczycie, ciemną i ponurą w ognich zachodu, prawie nierealną, przypominającą pastelowe malowidło w prześwietlone słońcem południa. Górka w skwarnym lipcu 1944 roku pokazywała kierunek radzieckiemu żołnierzowi po sforsowaniu Bugu. Zapatrzony w nią maszerował zza Uralu ze swoim sztandarem umundurowany oddział Związku Młodych Patriotów, Polskich do stacji, której nazwą była „Ojczyzna”. Oglądałam ten sztandar w Muzeum Chełmskim. W Świerdłowsku, na niedużym kawalku bawelnianego płótna czerwonego koloru, kobieca ręka wyhaftowała białego orla zwykłą bawelnianą nicią...

Zagadnięty po drodze ze stacji do miasta mieszkaniec Chełma pokazał mi pochylony na jedną stronę dom drewniany, na którym dzieci nagryzmoliły kredą: „do sprzedania i do rozebrania”.

— Chwilowy popas historii w Chełmie przed piętnastu laty nie przyniósł wielkich zmian — oświadczył mój rozmówca. — Skończyło się na szumnym określeniu „stolica PKWN”. Przed wojną był tu żywy ruch kulturalny. W Chełmie wychodziła przecież „Kamena”, postępowe i autorytatywne pismo poetyckie. Teraz mamy dom kultury, dwa zespoły artystyczne, dużo więcej szkół, ale nie pamiętam żadnego rewelacyjnego wydarzenia w życiu kulturalnym od kilkunastu lat. Moje miasto to zaniedbana prowincjonalna dziura.

Powtórzyłam to w Miejskiej Radzie Narodowej. Jej przewodniczący, Adam Polak, uśmiechnął się na to z ojcowską wyrozumiałością.

— Są ludzie, którzy tkwią po same uszy w codziennych sprawach, nie zdając sobie sprawy z tego, że sami rosną, potem starzeją się i lysieją. Tacy nie widzą tego, co się dzieje trochę dalej od nich... Niedawno przyjechał tutaj urodzony chełmianin, który opuścił nasze miasto w 1915 roku — obecnie jest profesorem na moskiewskiej politechnice... Wyprowadziłem go na Górke. Popatrzył z niej na wschód i przetarł oczy. „Tam przecież były same pastwiska i bagna, skąd się wzięło drugie miasto?” — pyta. W starym Chełmie

(Ciąg dalszy na str. 12)

\*) Pięćsetzłotowy banknot z głową górala, służący zazwyczaj jako łapówka dla żandarmów w łapaniach ulicznych.



# Tradycja i przyszłość

RYSZARD DUNIN

Jubileusz XV-lecia Polski Ludowej mimo woli nasuwa konieczność powrotu choćby na małą chwilę do tych dni i do tych ludzi, którzy dali początek życiu kulturalnemu, a więc i wydawnictwu w Rzeczypospolitej Lubelskiej — Anno Domini 1944. Otóż i oni: wszędobylski i nieustraszone Jerzy Borejsza z dziesiątkiem roz-tuzjuszowanych organizatorów pierwszych gazet, czasopism i pierwszej składowej dziś nie tylko w kraju ale i za jego granicami, spółdzielczej instytucji wydawniczej „Czytelnik”. Marzenia, którymi kiedyś chcieli otwierać drogę do dusz ludzkich, przybierały realne kształty. Pierwsze tomiki wierszy rozchwytywane były prawie tak szybko, jak najświeższe wiadomości z pobliskiego frontu. Pierwsze drukowane polskie słowa napawały radością i jednocześnie zdziwieniem. To jednak Polska?!

Szły lata. Lublin tracił powoli stoleczny blask, szarzał, ogalczany z najświetniejszych piór, kreacji teatralnych, uroku marzeń i potęg wyzwolenczego czynu. Pozostała garstka ludzi ze środowisk twórczych, zwłaszcza literackiego, zwątpiła we własne siły, obserwując rodzące się sprzeczności między ideą a praktyką. Ten i ów świadom grożącego rozczarowania umykał chylkiem do stolicy. Wierni Lublinowi patrioci pozostali na miejscu, gryząc się często kłopotami domowymi, osobistymi i społecznymi. Na doraźne zamówienia redakcji, pisali coś niecoś, a potem wylewali kubły żalów i wzajemnych pretensji na swoich zebrańskich związkowych. Manifestacja rozczarowania występowała na każdym niemal kroku.

A mecenas województwa często potrzebował artystów tylko do napisania referatu, uświetnienia akademii czy dekoracji sali...

Na szczęście organizm państwowy został uzdrowiony, dzięki czemu nastąpiło też ożywienie w intelektualnej rzeczywistości lubelskiej. Na falę tego ożywienia zrodziła się koncepcja wskrzeszenia pięknej tradycji wydawniczej Lublina. Od myśli jednak do dnia powstania Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej upłynęło niemało trudnego, pełnego zmagania i zwątpienia czasu. Dziś można już, a nawet trzeba o tym napisać, że pierwszy rok istnienia LSW był pod stałym znakiem zapytania, że próbowano w najróżnorodniejszy sposób przeskądzać jej rozwój. Oczywiście czynili to ludzie, którzy nie potrafili lub też nie chcieli zdać sobie sprawy z tego, czym dla przyszłego rozwoju kulturalnego Lublina i całego województwa będzie własny ośrodek wydawniczy. Jak dalece nie pomylili się ci wszyscy, którzy ze wszelkich miar popierali organizację spółdzielni, ci którzy przekazali nawet swoje oszczędności na składki i udzieli członkowskie, świadczy rozwój wydawnictwa, jego dotychczasowe osiągnięcia i olbrzymie perspektywy na przyszłość.

Szeroki i złożony jest wachlarz zagadnień i spraw, którymi żyje na co dzień Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza. Pisząc o jej dwuletniej działalności i perspektywach na przyszłość, wypada nie tylko zsumować tony za-

drukowanego papieru, ale chyba przede wszystkim pokazać jej dobroczynny wpływ na ożywienie się środowisk twórczych, naukowych i regionalnych.

Już dziś wokół wydawnictwa skupionych jest ponad 200 osób, z czego więcej aniżeli połowę stanowią stałe zatrudnieni pracownicy. Spółdzielnia posiada około 120 członków reprezentujących wszystkie kulturalne środowiska lubelskie, posiada kilkudziesięciu stałych współpracowników z dziedziny literaturoznawstwa i językoznawstwa, grafiki i malarstwa oraz różnych gałęzi nauki. Jest to armia ludzi mogąca przysporzyć Lubelszczyźnie wielu trwałych, a nawet nieprzemijających wartości kulturalnych.

Stale rozszerzanie się kręgu tych ludzi jest bardzo widoczne. Świadczy o nim chyba najlepiej liczba członków Spółdzielni, która w okresie 2 lat zwiększyła się o ca 80 osób, przy czym trzeba podkreślić, że statut wyraźnie ogranicza masowy dopływ, przyjmując się bowiem zasadą, że członkami LSW mogą być tylko osoby ze środowisk kulturalnych, twórczych i naukowych.

Co przyniosły minione lata w zakresie wydawniczym?

Otóż wypadaloby przede wszystkim powrócić właśnie do zadrukowanych ton papieru. A więc mówimy o blisko 1000 tonach papieru, na którym ukazało się ponad 760 wydań „Kuriera Lubelskiego” — w ogólnym nakładzie 38 milionów egzemplarzy. Mówimy o 14 tytułach książkowych i artystycznych wydanych do pierwszego półroczu 1959 r. w nakładzie około 60 tysięcy egzemplarzy i objętości ponad 180 arkuszy wydawniczych.

Zakłady drukarskie spółdzielni wykonały usługi wartości kilku milionów złotych.

A najbliższa przyszłość?

W drugiej połowie br. ukaże się na rynku wydawniczym około 15 nowych tytułów książkowych o objętości ponad 270 arkuszy wydawniczych w nakładzie przekraczającym 110 tysięcy egzemplarzy. Edycje te postawią Spółdzielnię w rzędzie poważnych ośrodków wydawniczych. Z ciekawszych pozycji ukażą się na rynku: I tom „Ruchu Oporu na Lubelszczyźnie — AL i GL, Materiały i źródła”, Listy Jana Hempła, Monografia Zespołu Namysłowskiego, Wspomnienia K. A. Jaworskiego pt. „Serca za drutem”, powieść R. Liskowackiego „Po tamtej stronie życia”, trylogia T. Kosteckiego „Wilki”, „Białe Piekło” i „Cień Wilka” oraz cały szereg innych pozycji.

Miasto nasze, dzięki powstaniu kilku wyższych uczelni awansowało do roli poważnego ośrodka uniwersyteckiego, sięgając swymi wpływami daleko poza granice województwa. Działalność towarzystw naukowych, rozbudowa zakładów i bibliotek, stały rozwój wydawnictwa „Annales”, wszystko to niewątpliwie miało i ma poważny wpływ na wzmocnienie życia kulturalnego Lublina. Mgr Ryszard Orłowski w Nr 1 „Rocznika Lubelskiego” pisze: „Dość istotnym faktem dla postępu prac naukowych stało się powołanie Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej”. Stwierdzenie nie gołosłowne, ma bowiem poważne pokrycie w nawiązaniu i kontynuowaniu ścisłej współpracy Spółdzielni z oddziałem lubelskim Polskiego Towarzystwa Historycznego. Współpraca ta dała już konkretne rezultaty w postaci 2 Roczników Lubelskich oraz książek: „Lubelska Rada Delegatów Lubelskich”, „Dziennik z lat okupacji” i „Z przeszłości Ziemi Łukowskiej” — o objętości ponad 90 ark. wydawniczych.

Nawiązaliśmy także kontakty z Towarzystwem Filozoficznym i innymi towarzystwami, przygotowując do druku kilka tytułów naukowych i popularno-naukowych. Współpraca z PTTK przyniesie w br. „Przewodnik po Lublinie”. Niezwykle ciekawie, moim zdaniem, ukształtowało się współdziałanie naszej placówki na odcinku wydawniczym z Komitetem Wojewódzkim partii. Mianowicie: podjęliśmy wspólne zadanie w zakresie utworzenia i realizowania wydawnictw politycznych i społecznych w ramach „Biblioteki Społeczno-Politycznej” utworzonej przy naszym wydawnictwie. Pierwszy tom biblioteki pt. „KPP w walce o front ludowy na Lubelszczyźnie” już się ukazał. Kontynuacja cyklu edycji historycznych i zagadnień spo-

leczno-politycznych Lubelszczyzny może w okresie najbliższych lat przynieść poważny zbiór materiałów i opracowań popularno-naukowych z tego zakresu.

Wielką wagę przykładano i przykładac nadal będzie nasze wydawnictwo do popierania twórczości literackiej. Uważamy bowiem, że obok wydawnictw społeczno-politycznych oraz popularno-naukowych i naukowych, literatura piękna i poezja winna się cieszyć naszą szczególną troską. Myślimy tak nie tylko z pietyzmu do tego rodzaju twórczości, ale pragniemy ze wszelkich miar pomóc w rozwoju lubelskiego środowiska twórczego, w przeciwdziałaniu próbom ucieczki z Lublina co celniejszych piór, w wiananiu twórców z naszym miastem na dłuższe okresy. Służyć temu celowi będą kon-

Grupujemy ponadto materiały regionalne z innych źródeł. Mam tu na myśli szereg ciekawych wniosków i wypowiedzi w ankiecie rozestanej przez LSW do najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli województwa lubelskiego oraz zgłoszenia poszczególnych środowisk twórczych i naukowych.

Pragniemy już w obecnej chwili stworzyć wszechstronny, podstawowy, tytułowy program wydawnictw na lata 1960—1965. Położymy nacisk szczególnie na te dziedziny, które w warunkach lubelskich gwarantują najwyższy poziom opracowań, a więc — na naukę, literaturę piękną i społeczno-polityczną. Konkretnie zaś z nauk brana będzie pod uwagę przede wszystkim historia, literaturoznawstwo, językoznawstwo i etnografia. Z tego na pewno za-



kretnie zamówienia wydawnicze lub bezpośrednia praca w wydawnictwie. Przyszłość Spółdzielni, podobnie jak twórcza przyszłość członków Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, jest częściowo współzależna od wzajemnych upadków czy rozwoju. Dlatego też popierając lubelskich twórców zabezpieczamy jednocześnie interes wydawnictwa.

Rozwój Spółdzielni będzie uzależniony także od wytwarzania właściwego klimatu wokół niej przez wszystkie środowiska kulturalne Lubelszczyzny, od stopnia pomocy i opieki ze strony władz partyjnych i państwowych.

Co przeszkadza w tej chwili w dalszym rozwoju spółdzielni?

Wydać mi się, że najbardziej zgrzytliwym hamulcem jest sprawa technicznego wykonawstwa naszych książek. Dobre chęć dyrektora Lubelskiej Drukarni Prasowej, ani jej piękne, nowe mury, w żadnym razie nie zastąpią odpowiedniego zespołu linotypistów. To „wąskie gardło” drukarni sprawia, że Spółdzielnia wykorzystuje swoje środki finansowe oraz możliwości edytorskie zaledwie w niecałych czterdziestu procentach. Większość składu książek odbywa się w godzinach nadliczbowych, co podraża poważnie koszty produkcji. Sytuacja taka zmusza Spółdzielnię do szukania wykonawców poza granicami województwa.

Jednocześnie — cóż za paradoks — cały szereg wydawnictw, np. warszawskich, drukuje setki arkuszy w drukarni lubelskiej. Tworzy się przez to błędne koło. Uważamy, że Ministerstwo Kultury oraz Centralny Zarząd Przemysłu Graficznego sprawę tę powinny jakoś rozsądnie unormować. Należy bowiem czynić w Polsce dziś wszystko, co może obniżyć koszty produkcji książek i skrócić sam proces produkcji. Chodzi o prowadzenie takiej polityki, aby książka nie była deficytowa, a z drugiej strony, aby cena jej nie wzrosła, ale odwrotnie — malała. A przecież koszty produkcji odgrywają tu jakąś podstawową rolę!

Drugą sprawą, która dotychczas nie pozwoliła rozwinąć się w pełni Spółdzielni, jest kwestia programowania wydawnictw. Natrafiamy tutaj na bardzo poważne trudności zwłaszcza w zakresie literatury pięknej. Oczywiście nie rozkładamy bezzadnie rąk, próbujemy stosować środki zaradcze. Wydawnictwo ogłosiło konkurs na powieść związaną tematycznie z Lublinem i Lubelszczyzną. Ponieważ nagrody są dość atrakcyjne (1—20 tys. zł.), spodziewamy się, że w kwietniu 1960 r. uzyskamy już pewien zapas tytułowy.

ciekawi czytelników projekt wydawnictwa popularnej serii „Żywych klasyków”, a więc tomików, na które składałyby się: wstęp krytyczno-bibliograficzny, fragmenty wspomnień o danym pisarzu lubelskim, wyjątki z jego listów, mała antologia najcenniejszych utworów bądź fragmentów. Wydawnictwo tego typu, przy utrzymaniu odpowiedniego opracowania graficznego niewątpliwie mogłoby spełnić poważną rolę w popularyzowaniu literatury pięknej. Poezja będzie wydawana w kolejnych tomikach „Biblioteki poetów lubelskich”.

Jeszcze słowo o autorach. Pierwszą częścią planu proponujemy objąć szereg nazwisk nieżyjących autorów lubelskich. Będą to: J. Czechowicz, K. J. Szaniawski, J. Dąbrowski, W. Nałkowskiego, W. Pol, A. Strug, F. Arnsztajnowa, S. Zeromski, Koźmian, Morzycka, Hempel i in. Są wśród nich autorzy dawno nie drukowani.

Do drugiej części programu powinny być włączone nazwiska lubelskich twórców współczesnych, w tym: Marii Bechcyc-Rudnickiej, Konrada Bielskiego, Eugeniusza Gołębiowskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Józefa Nikodema Kłosowskiego, Zygmunta Miłkowskiego, Anny Tatariewicz, Stefana Wojskiego i wielu innych.

Oczywiście opracowanie wieloletniego programu wydawniczego będzie wymagało szerokiego współdziałania naszych odbiorców, toteż projektujemy publikację poszczególnych działów planu oraz grup i podgrup bibliograficznych w celach dyskusyjnych, po czym dopiero program zostanie zatwierdzony przez władze Spółdzielni. Będzie to ze strony wydawnictwa pierwszy, najważniejszy krok w zakresie nawiązania ścisłego kontaktu z przyszłymi odbiorcami. Na tym oczywiście nie poprzestaniemy. Będziemy następnie organizować spotkania z autorami, dyskusje nad książkami, odczyty i konkursy. Będziemy wydawać katalogi włączonych do planu i wydanych książek. Będziemy domagali się od lubelskiego „Domu Książki” stałych kącików nowości dla naszych wydawnictw.

Wysiłki LSW zmierniejszą do koordynacji prac związanych z badaniami regionu lubelskiego, zwłaszcza historycznymi i literackimi. Będzie to uwzględniał wieloletni program wydawnictw na lata 1960—1965.

Zyczyć tylko wypada sobie i czytelnikom, aby program ten został w pełni zrealizowany.





# DUŻO CZY MAŁO

ZOFIA LAWENDA

Trzysta milionów to cyfra astronomiczna i właściwie przeciętnemu obywatelowi trudno sobie uprzytomnić ile to jest. Trzysta milionów złotych nigdy naraz nie miał w rękach, a nawet gdyby miał, z pewnością byłby serdecznie zakłopotany, co z tym „fantem” zrobić.

Istnieje jednak wypadek, w którym wyobrażenie wartości tej sumy jest zupełnie możliwe. Trzeba tylko przywołać cały zasób wyobraźni i uważnie przypatrzeć się makiecie miasteczka uniwersyteckiego. Wówczas ten długi szereg zer przeistacza się nagle w szereg jasno tynkowanych, wielopiętrowych gmachów, rozrzuconych malowniczo na stoku obszernego wzgórza. A kiedy się dobrze natęży uszy wyobraźni, można nawet posłyszyc chlupot wody w krytej pływalni, odgłos piłki uderzającej miarowo o kort tenisowy, nieskoordynowany chór studenckich głosów, dobiegający z otwartych okien domów akademickich, wesołe okrzyki dzieci grających w „klasy” przed blokami pracowników, ćwierkanie ptaków wśród drzew obrastających ulicę, a nawet ciche rżenia koni w klinice weterynaryjnej.

Jednakże bogata wyobraźnia, to przywilej tylko pewnej grupy ludzi. Ci, którzy jej nie posiadają aż w tak wysokim stopniu, mogą zobaczyć, jak wygląda suma 110 milionów złotych. Trzeba tylko z Krakowskiego Przedmieścia przejść ulicą Nowotki, aż do końca. Drogę zastąpią wówczas wysokie na pięć pięter domy akademickie. Wydają się one jeszcze wyższe, dzięki otaczającym je przestrzeniom nie zabudowanych terenów. Przypominają wysokie bloki skalne, w których gnieźdzą się tysiące świergotliwych i ruchliwych jaskółek.

Ale 110 milionów, to nie tylko te 6 wyniosłych budowli. To jeszcze także dwa bloki mieszkalne dla pracowników naukowych, to jeszcze gmachy Fizyki, Chemii, Weterynarii, będący na ukończeniu gmach Agrotechniki, kółtownia, kliniki weterynaryjne, uplasowane w dole przy ulicy Głębokiej, itd. W sumie 18 obiektów. Mało, czy dużo? Hm... zależy z której strony się na to patrzy. Bo są tu co najmniej dwa aspekty.

Wnęć pierwszy. Gdyby podczas stynnego „posiedzenia na beczkach” któryś z jego uczestników duchem proroczym wiedziony ujrzał nagle wizję lubelskiej dzielnicy uniwersyteckiej w dzisiejszym stadium jej rozbudowy, obraz ten z pewnością napęłniłby go entuzjazmem i otuchą. W

czasach, kiedy front jeszcze grzmiał na Wiśle, a ludzie byli gotowi do największych ofiar i poświęceń, 18 nowoczesnych obiektów oddanych wyłącznie do dyspozycji uniwersytetu byłoby darem nierozsądnym „królewskim”.

Dziś, po piętnastu latach, kiedy mamy już poza sobą okres egzaltowanego heroizmu (w dobrym tego słowa znaczeniu) i różne „okresy przejściowe”, kiedy nastąpiła pewna stabilizacja, a rozwój nauki idzie naprzód z nienotowanym dotąd rozmachem, 18 obiektów to mało. To nawet bardzo mało. Np. biblioteka uniwersyteckiej lada dzień grozi magazynowanie druków stałych i periodyków, napływających codziennie, pod gołym niebem. Zapchane do ostatniej wolnej szparki prowizoryczne magazyny, często zupełnie nie nadające się do pełnienia takiej roli, uniemożliwiają właściwe użytkowanie ich, nieraz po prostu bezcennej, zawartości. A więc konieczny jest gmach dla biblioteki międzyuczelnianej, umiejscowionej tak, aby można było, w miarę potrzeby, dobudowywać nowe magazyny.

Albo np. fizyka. Mieści się w jednym dużym gmachu. Ale przecież ten wydział, na nowoczesnym uniwersytecie powinien mieć szereg urządzeń umożliwiających badania nad promieniotwórczością, reakcjami jądrowymi itd., itd. Tymczasem budowa takich urządzeń wymaga kolosalnych nakładów pieniężnych, z pewnością przewyższających owe astronomiczne dla przeciętnego obywatela 300 milionów.

Podobne refleksje można by snuć na temat niemal wszystkich wydziałów lubelskich uczelni. Mało — niestety, prawda.

Ale zaraz! Popatrzmy na to wszystko od jeszcze innej strony — od strony historycznej:

Na początku, jak w biblii, był chaos. Piekielny chaos, w którym nikt nie był pewny życia, a naczelna zasada większości brzmiała: przetrwać. Z tego krawego kosmaru zaczęły się wyłaniać zręby nowej Polski, opartej na zasadach sprawiedliwości i równości. Jednocześnie porwano się na dokonanie aktów, które dotychczas leżały w mocy wyłącznie boskiej — do tworzenia „z niczego”. Jednym właśnie z takich czynów było stworzenie w nowej Polsce pierwszego uniwersytetu. Nie było lokali, nie było pomocy naukowych, aparatury, bibliotek. Była garstka ludzi zagnanych przez wojnę do zniszczonego Lublina, ludzi wiernych nauce, pełnych wiary w przyszłość i pełnych woli wytrwania w swojej niełatwej służbie.

A pięć lat potem, 23 października 1949 r., na uroczystościach pierwszego jubileuszu UMCS położono kamień węgielny pierwszych budynków miasteczka uniwersyteckiego: Domu Studenckiego bloku A, Fizyki i Chemii. Wykop na fundamenty zrobiono w szczerym polu, pełnym wybojów, pomiędzy szerniałymi głąbami kapusty i uschłymi badylami słoneczników, które tu rosły jeszcze w lecie, nim decyzją władz miasta Lublina ten 19-hektarowy obszar został oddany „...pod przyszłą chwałębną, a pomyślną rozbudowę Uniwersytetu, ku pożytkowi Najjaśniejszej Demokratycznej Rzeczypospolitej”.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

## Pieśń najprostsza

Leżą pod miastami, pod gruzem, pod zwalem,  
— zgruchotani, zasypani, przywaleni —  
ci, co mnie kochali, ci, których kochałam  
na polskiej ziemi.  
Ręce — rozrzucone, oczy — wypalone,  
piersi — płaskie jak płyty...  
Już, dopóki żyję, razem nie zabiją  
cężna rozbiła.  
Jakże z oddalenia pieśń na inną zmienić,  
jak mi tęsknić inaczej?  
...Tych, których od mała w ojczyźnie kochałam,  
tam nie zobaczę.  
Dokądkolwiek — ścieżka, wszędzie ból mój miesza,  
wieńcem łmion się krwawi,  
i serce na strzepy rozdiera ją sępy  
tu czy w Warszawie...  
Leżą pod miastami, pod gruzem, pod zwalem  
— zgruchotani, zasypani, przywaleni —  
ci, co mnie kochali, ci, których kochałam  
na polskiej ziemi...

Cluj, Rumunia, 1944

JANINA BRZOSTOWSKA

## O przyjaźni narodów

Cóż jest ponad przyjaźń,  
kiedy serdeczna, dobra, pełna troski —  
potrzeby, sposobności żadnej nie omija,  
by okazać, że czuwa, naszym sprawom sprzyja,  
że jest jak drzewo, które z niewielkiej gałązki  
wyrósłszy, coraz piękniej, bujniej się rozwija?  
Także pośród narodów, pośród ludów ziemi,  
co się rozważał uczył, jak trudnej alchemii,  
i pragnął wzięć w obronę ludzkich uczuć godność —  
przyjaźń jest najpiękniejsza, kiedy niesie pomoc,  
i mówią przy tym prosto, szczerze: przyjm ode mnie  
to, co mam najlepszego i co słusznie cenię:  
doświadczeniem się z tobą dzielę — niech ci służy,  
jak oddech życia, słońce — rozkwitowi róży.  
Takich słów ziemia cała w zadziwieniu słucha,  
nienawykła, by w dziejach, z których krew ocieka,  
naród w drugim narodzie widział swego druha,  
by żył dobrze z sąsiadem...

A ponieważ był to okres, w którym zaczęto już patrzeć na wszelką odbudowę i rozbudowę pod kątem architektonicznego piękna i urbanistycznej celowości, urządzono dwa konkursy, w wyniku których postanowiono budować „centrum” miasteczka, a więc kompleks budynków dydaktyczno-naukowych i administracyjnych uczelni według projektu architekta T. Witkowskiego i arch. Cz. Gawdzika. Natomiast kolonię mieszkaniową oraz obiekty usługowe i urządzenia sportowe — według projektu arch. K. Różyckiej i arch. H. Górskiej.

A potem, z Uniwersytetu MCS wydzielono Akademię Medyczną i Wyż-

szą Szkołę Rolniczą. Wskutek tego trzeba było nieco zmienić projekty budowy miasteczka uniwersyteckiego. AM, finansowana przez Ministerstwo Zdrowia, rozpoczęła na Lemszczyźnie (59 ha obszaru) budowę swojej własnej dzielnicy, z wielką polikliniką na 1300 łóżek na pierwszym miejscu.

Miasteczko uniwersyteckie miało oddać zaspokoić potrzeby UMCS i WSR i z myślą o tym poprowadzono dalszą budowę.

Jak się już rzekło, przez 10 lat tej budowy powstało osiemnaście obiektów. Nie można jednak patrzeć wyłącznie na te kilkanaście bloków i łamać ręce nad niedocenianiem potrzeb nauki. Konieczne jest spojrzenie szersze na te sprawy. Wystarczy objąć nim choćby tylko Lublin z najbliższą okolicą, a to „niedocenianie” ukaże się w nieco innym świetle. W tym samym czasie wybudowano w Lublinie cztery wielkie osiedla mieszkaniowe: ZOR-Bronowice, ZOR-Zachód, ZOR-Lipowa i ZOR-Tatary, nie mówiąc już o mniejszych, takich jak Podzamcze, Stare Miasto itd. W tym samym czasie wybudowano FSC i WSK, że nie wspomnę już o mniejszych. Tak, nie można zapominać, że ludzie przede wszystkim muszą gdzieś mieszkać, co jest i na to życie mieć gdzie zapracować. To szersze spojrzenie tłumaczy wiele i pozwala mieć nadzieję, że w najbliższym czasie nakłady finansowe na rozwój nauki wzrosną, boć przecie bez jej szybkiego postępu nie byłibyśmy w stanie postawić życia w naszym kraju na europejskim poziomie.

Wnęć jak to będzie wyglądało w tej niedalekiej już przyszłości, kiedy to wszystkie 39 obiektów stanowiących dzielnicę uniwersytecką Lublina stanie w całej swej okazałości? Będzie się ona składała z czterech zasadniczych części. „Centrum” obejmujące obiekty dydaktyczno-naukowe, takie jak: Chemia Mała, Chemia Duża, Fizyka, Biologia i Nauka o Ziemi, Prawo, Humanistyka, Agrotechnika, Weterynaria, Zootechnika, Biblioteka i Rektorat z Aulą (łączna kubatura 211 tys. m<sup>3</sup>). Druga część dzielnicy, to zabudowa pawilonowa: Klinika Interny, Chirurgii, Kliniki Po-

(Dokończenie na str. 16)



MAKIEJA DZIELNICY UNIWERSYTECKIEJ



# Pani Maria

ZBIGNIEW STEPEK

Nie znałem Pani Marii z okresu, kiedy została babcią. Podobno cieszyła się bardzo. Niewątpliwie — cieszyła się. Wnuk wprowadził urodził się daleko, za morzem, jednak już w trzy miesiące później na nocnym stoliku pani Marii, w ślicznych rzeźbionych rameczkach znalazło się zdjęcie małego naguska. Niemowlak — jak niemowlak, jak setki i tysiące trzymiesięcznych dzieci. Pani Maria upatrywała jednak w swym wnuku wyjątkowe podobieństwo do rodziny. Nie mówiła tego sama — ale lubiła bardzo, gdy ktoś zauważył: „wykapaną babcią”. A w ogóle wszystko było ładne: i buzia, i nóżki, i nosek, i oczki, i pupcia i lysa główka. Nawet ładne było polskie imię — Jan, polskie, choć nadane z dala od ojczyzny.

Pani Maria nie wiedziała, że od momentu urodzin, jeszcze wcześniej nawet, kiedy matka, Angielka, kołysała pod sercem przyszłego człowieka, postanowiono, aby nosił imię John.

Minęły te najdłuższe lata: ssania, ząbkowania, rączkowania, płaczu, uśmiechów, pierwszych słów, pierwszych zabaw i niby rozmów.

O tych latach dowiedziałem się od sąsiadów i znajomych pani Marii.

Syn, jedyny syn, który ocalał z wojny, pisał do rodziców często i obszernie — pisał o sobie, o żonie, o wnuku Janku i trochę o tym innym życiu za granicą. Nigdy w listach swych nie użył słowa „emigracja”. I nigdy na pytania rodziców: czy wrócisz? czy myślisz wracać? czy nas odwiedzić? — nie było odpowiedzi.

Synowa pani Marii, szczupła, zgrabna i podobno sympatyczna Angielka, dopisywała na końcu każdego listu jeden polski wyraz „i” — oraz swoje imię Ewa.

Podobno nauczyła się trochę mówić po polsku. A Janek chodził do angielskiej szkoły.

O tych wszystkich sprawach dowiedziałem się od sąsiadów i znajomych pani Marii. To było dawno — kilkanaście, kilka lat temu.

Panią Marię poznałem w dość specjalnej sytuacji. Wiedziałem, że profesor L. przeprowadzał badania wykopaliskowe w terenie, którego przeszłość i mnie mocno interesowała. Postanowiłem prosić go o rozmowę na te, pasjonujące historyków, tematy.

Niestety, nie zastałem go w domu. Natomiast w ogródku na leżaku, sie-

Halina — Maria, Olcha krzątali się przy tym może najpilniej. Ogłosiliśmy termin. I...

I nagle dowiedzieliśmy się, że nie wolno na terenie Zakopanego urządzać zebrań publicznych. Czy nie mówiłam już, że działo się to w niepowtarzalnych dwóch tygodniach oszłomienia wolnością? Upić jej świeżością, byliśmy w te dni, naprawdę, jak dzieci, i zareagowaliśmy dziecinnie. Ni mniej, ni więcej wysłaliśmy delegację do osoby podpisanej na rozkazie, mającą oświadczyć, że „my się nie zgadzamy”.

Musiłam wydać się pułkownikowi bardzo zabawna, gdy z takim przekonaniem dowodziłam mu, że wolność wyklucza tego rodzaju ograniczenia.

— Przecież — mówiłam — po to ją otrzymaliśmy, żeby wreszcie móc ludziom mówić prawdę, przez tyle ponurych lat zabranianą.

(Wydawało mi się, że walczę przeciw ewentualnym precedensom).

Starszy męczyzna w połowym mundurze z bojowymi odznaczeniami tłumaczył uprzejmie z cierpliwym uśmiechem na zmęczonej twarzy:

— Tu jest jeszcze front. A na froncie nie może się dziać bez wiedzy wojennej władzy.

Ja jednak w takiej nienawiści miałam cenzurę wszelką, że trudno mi było ustąpić. Ale trudno i jeszcze trudniej było nam wszystkim zrezygnować z Poranku, z tego pierwszego po okupacji, bo nie tylko za siebie zdecydowaliśmy, za słuchaczy również.

Pułkownik, jakby rozumiejąc, podkreślał, że w rzeczywistości jest to tylko formalność. Ale nie chcieliśmy, śmieszni rybakci, tej formalności. I wtedy wyłoniła się szczęśliwie sprawa pierwszej na tym terenie, wywołanej przez Armię Czerwoną, Władzy Ludowej: Zakopiańska Rada Narodowa już urzędowała.

Niewielkie pokoje urzędu pełne były ludzi, dymu z papierosów, papierzyśki, wrzawy.

Gdy w trzecim z kolei pokoju rozglądałam się niepewna u kogo zasięgnąć potrzebnej informacji, spostrzegłam za jednym ze stołów, nie — kobietę z prostymi blond włosami, o wyglądzie wojskowym, nie — żywego człowieka, ale mgliste wspomnienie, obrazek, który stawał się z każdą sekundą wyraźniejszy: „ławka szkolna z czarnym, pokrajonym scyzorykami pulpitem... zielony mundur, czarny pod szyję fartuch... nad fartuchem gładkie, krótko obcięte, gęste bardzo, blond włosy, czupryna szorstka, jak z dostalego żyta, bardzo chłopięca, choć dziewczęcyńska... I jeszcze... izba harcerska... głosy odliczające w szeregu... mundurki płocienny koloru khaki... zielony, wełniany sznurek z gwizdkiem, odznaka zastępowej... Oczy niebieskie, dziecinne, ogromnie serlo patrzące... zmarszczone niedziennie trzynastoletnie brwi...”

— Zośka?

Sredniego wieku kobieta, siedząca za stołem po męsku, przesunęła ręką po krótkich, gładkich włosach. Niebieskie oczy, blędsze i chłodniejsze niż je pamiętałam, przyjrzały mi się z zalekaniem, badawczo:

— Renia!

działa jego żona, Pani Maria. Kobieta starsza, dość tęga, lat około sześćdziesięciu, włosy siwe i krótko przystryżone. Nieco badawcze, ale bardzo sympatyczne spojrzenie.

Na kolanach Pani Marii rozłożony był angielski samouczek.

Po wythumaczeniu celu mojej wizyty — uprzejmie przeprosiłem za przerwanie odpoczynku — i chciałem zrzęcznie wycofać się; zauważyłem, że pani Maria jest nieco zmieszana zapaniem jej na gorącym uczynku nauki. W tym wieku — to u nas jest bardzo niepopularne — nauka języka może być traktowana jak dziwactwo!

Pani Maria kazała mi spocząć — to znaczy usiąść. „Kazała” — to nie jest w tym wypadku określenie nie stosowne, ludzie w wieku pani Marii, obdarzeni ponadto sporą dozą humoru, mają prawo nieco młodszym od siebie — rozkazywać. Oczywiście ten warunek drugi jest niezbędny.

Ale nie na żartobliwą rozmowę zatrzymała mnie pani Maria. Postanowiła — może ta potrzeba nekala ją od wielu dni — postanowiła wytłumaczyć się z nauki języka angielskiego.

— Bo wie pan — jedziemy z mężem odwiedzić syna. Już wszystko załatwione, oni nam opłacają podróż. A przecież jego żona nie zna języka polskiego. I Janek też bardzo klepsko...

(Dokończenie na str. 15)

HELENA PLATTA

## Tryptyk lubelski

I  
W południe  
pnących róż ramiona  
omdlały bólem.  
Po ścianie ogniem oszalonej  
tętniły — kule.  
Bil wodotryskiem dym i popiół —  
— Tańczący pocisk  
rozdeptał kepe  
młodych konopli.  
Pod roz ostoną  
padł —  
— Ten, co bronil...  
W rozwarte palce  
lepkiej zieleni — wieniec,  
— róża — na skroni.  
Z okien — krzyk pierwszy  
dziecka,  
tu — partyzanta ostatnie tchnienie...  
Było to w lipcu —: 44  
wśród walk i ognia  
— twe: narodzenie.

II

Wyrosłaś na tej ziemi  
lipcowych miodów lekiem.  
Włosy — pszenne kłosa,  
głębią oczu leśną, orzechową  
żywy Wierszu,  
trudne Słowo  
moje.

Du dniom nieprzerwanym dziękować  
za trwanie,  
za myśl w tobie wzrastającą  
jak żyto do chleba —  
za radość odrodzenia w młodości,  
a dla niej  
ile jeszcze trzeba  
kwiatów takich,  
by niosły przez pola  
różnorodność barw, zapachów  
— pokoleń aureole?

III

Gdy symbolami dawnych wiez  
szło miasto w nową epopeję,  
w piętnaście lat przebiegła też  
Córeczko —  
jego dzieje.  
Tu, na Krakowskiej Bramie zegar  
hejnał gra twych szkolnych pauz —  
tu świąty suną drobnym ściegiem  
i noc po Starym Mieście chodzą  
w ramionach tuli Stary Las.  
Tu — w zakamarkach bram —  
legendy motyw  
od młodych parków niesie wiatr  
piosenki zwrotkę:  
— Ty zakwitniesz różą  
zakwitniesz różą,  
... kaliną —  
— gałązką rozmarynu  
w cieniu lubelskich wież.

Czerwiec 1959 r.

nym, tak wielki był patos tamtych dni.

Szczegółów Poranku już bym przecież nie umiała odtworzyć dokładnie. Ale jedno, to jedno, na pewno do dziś każdy z nas tam występujących pamięta i wspomina: Honorarium, jakieśmy od społeczeństwa wtedy otrzymali, było jedne w swoim rodzaju i bardzo znaczące dla tamtych dni: za nasze słowa dostaliśmy chleb. Zapłacono nam chlebem.

Po tylu latach znów czuję jego gorący, żytni zapach i smak.

Trzeba wiedzieć, że Zakopane w ostatnich tych dniach głodowało. Były jeszcze grule i karpiele, można było z trudem znaleźć i trochę mięsa. Ale chleba na lekarstwo nie uświadczyl. I tu taka niespodzianka! Kilowy bochenek razowca na głowę.

Czy mam bezwstydnie dodać jeszcze, że Kornel Makuszyński i ja obdarowani zostaliśmy, mimo naszych protestów, każde jeszcze dodatkową pajdą? On na pewno z wdzięczności za huczny śmiech, do jakiego pobudził salę opowiadaniem pełnym humoru. Ja, dlaczego? Nie wiem. Ludzie, gdy czytaliśmy, ocierali łzy, ja też oczy miałam pełne łez. A przestrzegaliśmy, początkując, mądra Pani Zofia Nałkowska jeszcze wtedy, gdy nie przeczując, co świat czeka, rozstrząsałyśmy w jakiejś rozmowie warszawskiej zadania pisarza: — Pisarz może wzruszać, ale sam powinien być niewzruszony.

Dziś myślę, że może jednak w tych słowach była racja. Co z tego?

Rzym, czerwiec 1959 r.

Ewa Szalburg-Zarembina

# KILOGRAM CHLEBA

(Dokończenie ze str. 1)

polskiego żołnierza. Wcale nie wiedziałam, że płacę, dopóki mi łyzy nie zamoczyły na kołnierzu kożuszka.

Ludzie ciekawie obracali za nim oczy, ale już uwagę przechodniów pochłonięto co innego — ziemia i powietrze drżały rytmicznie pod żelaznym ciężarem: nadciągały taczanki i towarzyszące im oddziały wojska.

Zakopane witało zwycięską armię radziecką.

U wylotu ulicy Witkiewicza Boczej kłós z gromadki cywilów pytał z polską po rosyjsku żołnierza, jednego spośród krzątających się przy niewielkim taborze:

— Czo, tiepier będzie z nami?

— A czoż — odpowiedział uzbrojone śniade chłopisko, śmiejąc się szeroko białymi zębami — my dokończymy wojnę i wrócimy do siebie. Ja na przykład na Kaukaz do baby i do winnic. A wy tu się rządzić będziecie swobodnie. Po to i przyszliśmy teraz. — Mówił po rosyjsku, ale nie trzeba było tłumaczyć na polski. Rozumiano.

Wojsko wciągnęło przez Krupówki w kierunku, w którym odeszli Niemcy.

Nastąpiły teraz dwa oszałamiające tygodnie „Republiki Zakopiańskiej”. Niepowtarzalny wybuch wolności! Coś jak Rzeczpospolita Artystów.

Było nas przecież, twórczego luda zgromadzonego tutaj, w tym kącie Polski, co niemiara.

Malarze, aktorzy, pisarze, muzycy, architekci.

„Zebrania, projekty, narady, dyskusje. Wszystko w temperaturze lawy, w takim też kształcie.

Tworzyliśmy na gorąco, w porywie szczerzej, pięknej solidarności, program niepodległej sztuki wolnej Polski. Nikt nie kłopotał się w owej chwili o drobiazgowość, a choćby bardziej rzeczowe, formułowanie na piśmie — wszystko było jak w dniu stworzenia świata, proste, jasne. Przepiętna nas radość. Okazało się, że wszyscy mieliśmy nagromadzone w sobie zapas entuzjazmu tak wielki, że nie mogliśmy go dużej zachować tylko dla siebie. Należało podzielić się nim ze społeczeństwem. Jak najprędzej.

Społeczeństwo było głodne mowy polskiej, polskiej swobodnej, swobodnie wypowiedzianej myśli. Społeczeństwo szczerze i po prostu chciało kontaktu ze swymi artystami. Zaraz. Bez zwłoki.

Tak powstał projekt Spotkania, projekt Poranku.

Zamówiliśmy salę w Morskim Oku (tę samą, gdzie w czasie monstre — łapanki trzymało wielu z nas, aresztowanych, gestapo). Ułożyliśmy pieczołowicie program. Zebraliśmy materiały.



„Bądź pozdrowiona, przynajdroższa ziemo nasza, którą zczuliśmy miłością bezdenną, gdyż była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą!”

Stefan Żeromski

Kiedy piętnaście lat temu rozgorączkowani, nieprzytomni ze szczęścia, upojeni swobodą stawaliśmy przed słupami, płotami i ścianami domów, by przeczytać Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, nie byliśmy nawet w stanie zastanawiać się nad pochodzeniem tego pierwszego dokumentu młodej władzy ludowej, obejmującej w swe posiadanie wyzwolony skrawek Ojczyzny. Wystarczyło nam, że był, że przemawiał do nas zewsząd narodowymi barwami: bielą papieru i czerwienią liter, że otwierał nową erę w dziejach Polski.

Manifest Lipcowy — obok swego zasadniczego znaczenia — dzisiaj ma dla nas jeszcze dodatkową wartość, jest bowiem tym dokumentem, który zapoczątkował także nowy okres w historii drukarstwa polskiego, a szczególnie lubelskiego.

Datą narodzin sztuki drukarskiej w Odrodzonej Ojczyźnie stał się dzień 21 lipca 1944 roku, a jego kolebką — Chełm. Zaszczycił ten spotkał małą drukarenkę p. Solskiej. Tutaj właśnie dwaj zecerzy: Jacek Zajęczkowski i Tadeusz Maruszewski składali przez całą noc tekst historycznej odeszy, by — po wielu korektach — już rano mogły wyjść wydrukowane, pachnące jeszcze świeżą farbą, arkusze Manifestu.

Siedziba PKWN Chełm był jednak bardzo krótko: od 21 do 31 lipca, tylko przez moment odgrywając rolę serca Polski Ludowej. Z przeniesieniem do Lublina władz państwowych wiązała się także sprawa drukarstwa, przed którym stanęły nagle ogromne zadania do wykonania. Mała drukarenka chełmska musiałaby chyba kilkadziesiąt razy zwiększyć personel i wyposażenie, by podolać tylko najbardziej palącym wymaganiom chwili bieżącej. Szkoły czekały przecież na polskie książki, poczta na polskie znaczki, społeczeństwo na polskie gazety.

Mimo wyraźnie nie sprzyjających warunków, Chełm nie rezygnował z niepowtarzalnej okazji zapisanie się w dziejach polskiej sztuki drukarskiej. Tu właśnie 23 lipca wydany został pierwszy, wprawdzie jeszcze mały i skromny, skompletowany po drodze do Lublina numer „Rzeczypospolitej”, pierwszego dziennika wolnej Polski. Tutaj też, już nieco później, bo 28 września wyszedł pierwszy numer gazety I Korpusu Pancernego — „Pancerni”.

Historia nowej drukarni, w której wydawano „Pancernych”, jest bardzo charakterystyczna dla ówczesnych czasów, dlatego też warto się z nią zapoznać. Zaczęło się od przysłania do sztabu I Korpusu Pancernego, na czele którego stali: gen. Kimbar i gen. Świerczewski — nowych czcionek (tylko tekstowych) ze Związku Radzieckiego. Nie było jednakże nic więcej, ani pomieszczenia, ani regałów, ani maszyn, ani... fachowców. Rozpoczęto gorączkowe poszukiwania. Kpt. St. Szalacki, redaktor „Pancernych”, przyjechał specjalnie do Lublina, by tutaj, na polach Majdanka, gdzie stacjonował zapasowy pułk wojska, poszukać drukarzy. Efektem tej wyprawy było przywiezienie do Chełma czterech zecerów. Szefem drukarni został Kazimierz Rosiak, cały zaś personel stanowili maszynista Kowalski oraz zecerzy: Poznański, Radomski, Ziółkowski. Poradono też sobie z brakiem czcionek tytułowych i regałów i to w sposób dosyć oryginalny. Na terenie Chełma znajdowała się prywatna drukarnia ukraińska, której właściciel zginął bez wieści. Drukarnię jednak już władze cywilne opieczętowały i postawiły przy niej posterunek. Chcąc zdobyć pozwolenie na przekazanie jej wojsku, trzeba było znarować wiele czasu, wymagało to zgody Lublina. A każda chwila była droga, należało bowiem jak najszybciej wydać gazetę. Szybko opracowano taktyczny plan batalii. Po uśpieniu czujności milicjanta (mowa oczywiście o milicji ochotniczej), który dał się namówić początkowo na rozmowę, później zaś na „pokrzepienie sił” w pobliskiej restauracji, załadowano w rekordowym tempie całe wyposażenie drukarni na uprzednio przygotowane samochody ciężarowe. Z pewnością wielkie było zdziwienie wartownika, gdy okazało się, że nie ma już czego pilnować. Zdobycza została zawieziona do szpitala i starannie zakonserwowana. Zecerze umieszczono w maglu. Tu właśnie stanęły „zdobyczne” regały, a do tekstowych czcionek radzieckich doszły brakujące tytułowe. Kłopot był jeszcze tylko z papierem. W drukarni znalazły się jedynie role papieru odpowiedniego dla maszyn rotacyjnych, cały zaś majątek stanowiąc tygiel. Dlatego też trzeba było papier ciąć i przystosowywać do miejscowych warunków. Mimo tak ogromnych trudności, montowanie drukarni trwało zaledwie dwa dni. Od 28 września do początków listopada drukowano w Chełmie bez większych przeszkód „Pancernych” i dopiero zmiana miejsca pobytu sztabu I Korpusu Pancernego, który posuwał się za oddalającym się od Lubelszczyzny frontem, spowodowała to, że drukarnię załadowano na samochody i skierowano szlakiem wojska. Dalsze numery „Pancernych” wychodziły więc już po drodze do Berlina.

Zasadniczy ciężar wszystkich problemów informacyjno-propagandowych, wydawniczych i innych spadł jednak na Lublin, który przez pół roku był stolicą Polski. Do nowych, gigantycznych zadań drukarstwa naszego miasta zupełnie nie było przygotowane. Tymczasem trzeba było przystąpić do pracy natychmiast i wykonywać tysiące ulotek, odesz, broszur, książek i czasopism — a wszystko to w zawrotnych, jak na dotychczasowe stosunki lubelskie — wielotysięcznych nakładach.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego istniało wprawdzie w Lublinie 30 zakładów poligraficznych, ale były to — poza pięcioma zaledwie drukarniami — prymitywne, ubogie zakłady, wyposażone najczęściej w 1—2 maszyny płaskie, przy których pracowało od 1 do 5 osób. W 1925 roku istniały tu zaledwie 4 maszyny pełnoformatowe. Ani jednego linotypu, nie mówiąc już o maszynach rotacyjnych! Linotyp zawiał do Lublina w r. 1928, sprowadzony do drukarni „Ziemiańskiej”, pierwszym zaś linotypistą był Sitarski. W 1937 r. Zakłady Graficzne Józefata Pietrzykowskiego również

otrzymały linotyp. W rok później Adam Szczuka sprowadził do swojej drukarni dalsze 2 linotypy. W sumie było ich zatem do wybuchu wojny tylko 4 w naszym mieście i jedyny w Lublinie monotyp, na którym pierwszy pracował Kazimierz Rosiak. Oczywiście, okupacja hitlerowska nie tylko nie wpłynęła dodatnio na podniesienie poziomu technicznego i wzrost liczby drukarni, ale — wprost przeciwnie — spowodowała jego upadek. Połowa zakładów należała do Żydów i podzieliła tragiczny los właścicieli, rabunkowa zaś gospodarka i brak konserwacji maszyn w polskich zakładach — odbijały się wyraźnie na możliwości produkcyjnej nielicznych drukarni, które ocalały przed zagładą. W 1940 r. Niemcy sprowadzili bardzo starą i zniszczoną 8-stronicową maszynę rotacyjną, ale nie można im tego poczytywać za zasługę. Zrekompensowali sobie sami tę „inwestycję” w ten sposób, że zdemontowali najcenniejszy obiekt poligraficzny Lublina — monotyp i wywieźli go do Krakowa. Ponieważ drukarze brali czynny udział w ruchu oporu, pod koniec okupacji kadry ich były tak mocno przerezane, że np. z całego personelu drukarni „Popularnej” została tylko żona właściciela i niepełnoletni chłopiec.

Rok 1944 zastał zatem drukarstwo lubelskie w jak najbardziej niekorzystnej sytuacji. Przetwało okupację tylko 9 drukarni, z czego zaledwie Lubelskie Zakłady Graficzne Adama Szczuki (Zamojska 12) i Zakłady Graficzne Józefata Pietrzykowskiego (Kościuszki 4) były jako tako zaopatrzone. Pozostałe 7 drukarek były w opłakanym stanie, przez okupację bowiem trudniły się przede wszystkim wyrobieniem stempli i drukowaniem klepsydr oraz drobnych druków. Do braku maszyn, pomieszczeń i fachowców trzeba dodać jeszcze tylko brak papieru, a otrzymamy wówczas wymowny obraz warunków, w jakich startowało drukarstwo lubelskie w lipcu 1944 roku.

## OD MANIFESTU DO KSIĄŻKI

ROMAN ROSIAK

Na pytanie: czy i jak w tych arcytrudnych okolicznościach nasza poligrafika zdała egzamin — odpowiedź fragmentem wspomnień Jerzego Putramenta:

„Pamiętny dzień 1 sierpnia 1944 roku. Wylecieliśmy z Moskwy; redakcja pierwszej gazety w wyzwolonej Polsce. Mieliliśmy już tytuł: „Rzeczypospolita”. Mieliliśmy redaktora: Borejszę. Było nas kilku w jego zespole. Nie wiedzieliśmy tylko, gdzie będziemy tę gazetę robić, na jakim papierze, na jakich maszynach, w jakim mieście.

Wyładowaliśmy na małym lotnisku wojskowym w Chełmie. Borejsza ruszył do miasta — PKWN przniósł się już jednak do Lublina.

Drugiego sierpnia byliśmy w Lublinie — czwartego zaś wyszedł pierwszy lubelski numer „Rzeczypospolitej”.

Chcąc podolać obowiązkowi — trzeba było poświęcić się wyłącznie pracy, wyrzec się niemal zupełnie osobistego życia, stać się jedną cząstką wielkiego mechanizmu, spać 2—3 godziny na dobę (oczywiście w redakcji czy w drukarni, ponieważ do domu na tę chwilę iść się nie opłacało).

Nie było czasu do namysłu. Już pierwszego dnia wolności na ulicach Lublina ukazało się pierwsze ogłoszenie wzywające do zachowywania porządku i spokoju, powrotu do pracy — aż do decyzji władz centralnych. Ogłoszenie było podpisane przez dowódcę II Obwodu Armii Ludowej. Plakat ten został wykonany na czerwonym papierze w formacie 40x60 cm w Drukarni Pietrzykowskiego. Zecer, który wykonywał ten plakat, został zastrzelony w nocy przez posterunek, gdyż wracając zmęczony do domu, zapomniał hasła.

Ta sama drukarnia zdobyła się na poważne osiągnięcie: dzięki niej 8 września ukazały się pierwsze polskie znaczki pocztowe, tzw. seria „Wodzów” z podobiznami Traugutta, Kościuszki i Dąbrowskiego.

Pierwszoplanową rolę w tych gorących dniach odegrał mjr Jerzy Borejsza, redaktor „Rzeczypospolitej”, kierownik Wydziału Informacyjno-Prasowego PKWN, założyciel „Czytelnika” etc. On też wspólnie z Kazimierzem Mliczewskim i Czesławem Kuleszą podjął się bardzo trudnego zadania: założenia nowej drukarni w Lublinie. Wybrano szybko obiekt przy ul. Zamojskiej 24. Następnie jednym samolotem wystartował do Rzeszowa Kulesza, drugim zaś do Zamościa Mliczewski. Obaj mieli jedno zadanie: załatwić dostawę papieru do Lublina. 18 sierpnia 1944 roku na samochodach pożyczonych przez Armię Radziecką przewieziono pierwszy transport papieru z Rzeszowa. Cały wysiłek w tym czasie skierowany był na zabezpieczenie systematycznych dostaw, ale papieru ciągle brakowało. Gatunek, format czy gramatura, nie mówiąc już o kolorze — były to pojęcia zupełnie nie znane w owych czasach. „Odrodzenie” drukowano nawet na pakowym papierze. „Gazetę Lubelską” na zielonym, czerwonym czy niebieskim. W momencie najbardziej tragicznym, kiedy wydawało się, że drukarnie staną — nadeszły pierwsze transporty papieru i farby ze Związku Radzieckiego. Cóż to znaczyło, że był on rolowy i trzeba go było przycinać i przystosowywać do potrzeb i formatu poszczególnych pism, najważniejsze — że był. O tym, jak wielkie było zapotrzebowanie na papier, może zaświadczyć fakt, że 100 numer „Rzeczypospolitej” osiągnął nakład 100.000 egzemplarzy. Gazety i pisma mnożyły się, jak przysłowiowe grzyby po deszczu. 4 sierpnia ukazała się

„Gazeta Lubelska”, 3 września wyszedł pierwszy numer tygodnika „Odrodzenie”, 1 października — „Lubelski Dziennik Wojewódzki”, następnie powstały pisma: „Robotnik”, „Głos Ludu”, „Zagon Ojczysty”, „Wies”, „Barykada Wolności”, „Wici”, „Stańczyk”, „Walka Młodych”, „Promyk”, „Promyczek” i inne.

Parze z ciągle rosnącym zapotrzebowaniem na papier szedł brak matryc linotypowych i czcionek. I w tym przypadku najcenniejszą okazała się pomoc Związku Radzieckiego. Niezależnie od tego trwało systematyczne penetrowanie terenu. I właśnie w trakcie takich poszukiwań por. Kulesza trafił na ślad drukarni w Dębicy. Z miejscowości objętej działaniami wojennymi, pod gradem pocisków wywożono maszyny i czcionki, w które wyposażono nową, otwartą w listopadzie 1944 roku drukarnię „Czytelnika” w Lublinie. Poza maszynami płaskimi, drukarnia ta otrzymała maszynę rotacyjną. Przez jakiś czas maszyna ta mieściła się w samochodzie, dopiero potem umieszczono ją w jednym hallu, razem z linotypem, stereotypią i zecernią. Drukarnia „Czytelnika” była liczebnie największa w Lublinie, zatrudniała bowiem około 100 pracowników. Przy niej zainstalowała się czasowo drukarnia połowa Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego W.P. z redakcją „Polski Zbrojnej”. Kierownikiem drukarni był ppor. Kazimierz Rosiak. Długa byłaby lista braków, z którymi musiała się borykać nowa drukarnia. Rotacja była na prąd stały — zamiast na zmienny, trzeba było do niej dorabiać części, czcionki były dwóch wysokości: „paryskiej” i „petersburskiej”, tak że tekst trzeba było składać na wysokości „petersburską”, tytuły zaś na „paryską”, następnie należało stronę odwracać na szufli i podkładać reglety lub materiał do wysokości pisma. Mimo to 13 stycznia 1945 roku wyszedł pierwszy numer „Polski Zbrojnej”.

Przez pierwsze miesiące wolności — aż do momentu przeniesienia Rządu do wyzwolonej Warszawy — główny ciężar prac spadł na trzy drukarnie lubelskie: Lubelskie Zakłady Graficzne Adama Szczuki, które zostały w grudniu 1944 r. uspołecznione i otrzymały tytuł „Pierwszej Drukarni Państwowej”, Drukarnię Sp. Wydawniczej „Czytelnik” Nr 1 i Zakłady Graficzne J. Pietrzykowskiego.

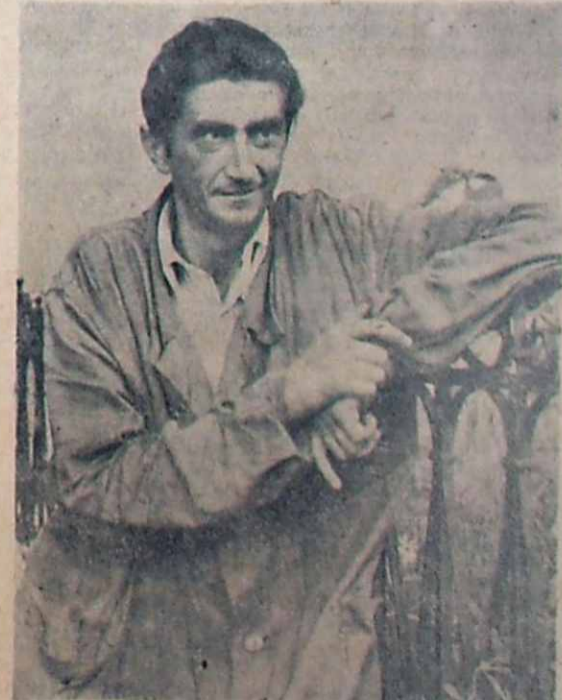
W miarę swych skromnych możliwości pomagały im mniejsze zakłady, zwłaszcza drukarnie: „Popularna” i „Estetyczna”.

Od lutego 1945 roku tempo życia w Lublinie zaczęło słabnąć. Po centralnych władzach zaczęły się przenosić do innych miast, najczęściej do Łodzi, poszczególne redakcje i instytucje kulturalne. Drukarstwo naszego miasta wracało wolno do swych normalnych, prowincjonalnych wymiarów. Do upadku jego jednak nie doszło. Zbyt silne były zamówienia i potrzeby terenu. Początkowo pewną rolę odegrało Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wydając kilka prac, to samo da się powiedzieć o księgarni „Lamus”. Stosunkowo największą rolę odegrały jednak dwie instytucje. Towarzystwo Naukowe KUL oraz Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej.

Nowy okres w rozwoju drukarstwa zapoczątkowała ustawa z 3. I. 1946 r. o przejęciu przez państwo podstawowych gałęzi gospodarki narodowej. Praktyczne skutki tej uchwały dają się zauważyć na Lubelszczyźnie dopiero w latach 1949/1950. Likwidacji uległo wiele mniejszych drukarni, przestała istnieć także drukarnia „Czytelnika”. Podstawowym zakładem w naszym mieście stały się Państwowe Lubelskie Zakłady Graficzne, które w 1951 r. otrzymały nazwę Lubelskiej Drukarni Prasowej. Wszystkie mniejsze drukarnie zostały zrzeszone w ramach Lubelskich Zakładów Przemysłu Terenowego.

W związku z rozwojem życia kulturalnego i naukowego Lublina musiał nastąpić rozwój drukarstwa. Od 1948 r. rozpoczęto w Zasadniczej Szkole Zawodowej Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy szkolenie młodych drukarzy. Złe warunki pracy i wzrastające potrzeby społeczeństwa przyczyniły się do tego, że w latach 1952/1953 przygotowano założenia wstępne, a w 1954 r. przedstawiono już dokumentację techniczną i rozpoczęto wykopy pod budowę wielkiego nowoczesnego zakładu drukarskiego. W marcu

(Dokończenie na str. 6)



Jacek Zajęczkowski, zecer, który składał Manifest Lipcowy



# Od Manifestu do książki

(Dokończenie ze str. 5)

1958 r. zakończona została przeprowadzka do nowego budynku, który całkowicie został przystosowany do potrzeb współczesnego drukarstwa. O jego wymiarach mówi chociażby kubatura, wynosząca ok. 40.000 m<sup>3</sup>. W chwili obecnej ten gigant zatrudnia już około 250 pracowników. Jeśli zaś chodzi o maszyny, wystarczy np. powiedzieć, że Lubelska Drukarnia Prasowa ma trzy razy więcej linotypów niż wszystkie drukarnie naszego miasta przed wojną.

Ten gwałtowny skok, jaki wykonało drukarstwo lubelskie w ostatnich latach, jest niewątpliwie wielką zasługą znanego ze swej społecznej postawy i umiłowania zawodu dyrektora Władysława Jakubowskiego. Gdyby nie nastąpiła tak wyraźna poprawa możliwości produkcyjnych Lubelskiej Drukarni Prasowej, nie byłoby przecież mowy o powołaniu do życia Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, która ma bardzo rozległe i ambitne plany na przyszłość, a mimo krótkiego okresu działalności — zanotowała już na swoim koncie szereg ciekawych tytułów. Z jej imieniem wiąże się m. in. powołanie do życia „Kuriera Lubelskiego”, wznowienie „Kalendarza Lubelskiego”, Wydawnictwo to wzięło też na siebie obowiązki drukowania „Rocznika Ogniska Nauczycielskiego”, „Rocznika Lubelskiego” i licznych wydawnictw książkowych. Ostatnim akordem ścisłej i owocnej współpracy LSW z Lubelską Drukarnią Prasową jest pięknie wydana antologia wspomnień pt. „W stołecznym Lublinie”. Książka ta, redagowana przez Marię Bechcysz-Rudnicką, została po raz pierwszy ręcznie złożona w Lublinie nową czcionką, tzw. antykwą toruńską, a ilustracje do niej wykonał Jerzy Zaruba. To wspólne dzieło wydawców i drukarzy świadczy najwymowniej o coraz większych ambicjach lubelskiej sztuki poligraficznej.

Dzisiaj, kiedy bierze się ten tomik wspomnień do ręki, mimowolnie wraca się do pierwszych dni walki o polskie słowo drukowane. Gdyby nie było tych pierwszych, skromnych sukcesów, nie byłoby przecież z pewnością i dzisiejszych.

„I dlatego — pisze Czesław Kulesza — chociaż dzisiaj tamte sprawy błędą w porównaniu z osiągnięciami

naszego przemysłu, dysponującego drukarniami — fabrykami o setkach najnowocześniejszych maszyn, na których się odbija milionowe nakłady książek i czasopism, to jednak ze wzruszeniem wspominam ten pierwszy okres, kiedy problemem było 10 kg farby czy ryza papieru; tylko ofiarny wysiłek i poświęcenie wielu kolegów, których nazwisk nie sposób wyliczyć, bo jest ich pokaźna liczba, umożliwiły wykonanie zadań, jakie w tym czasie przed nami postawiono”.

Roman Rosiak

STEFAN WOLSKI

## Dla jednych i dla drugich

Jakie imię twoje — miesiącu upalny, letni, niepodobny do czasu żadnego? Jakim blaskiem nasz wiek cię oświecił, jaką pieśnią wyróżniesz z wiek? Twój świat był zielony jak zwykle o letniej, słonecznej porze. Taki sam wiał wiatr wśród wiklin, taki sam był wiejący przez zboże; i kwiaty koło okien, lewkonie, piwonie i maki, i zakurzone drogi, i fruujące ptaki. Wszystko było podobne i niepodobne naraz, niepodobny był żołnierz nad Bugiem, który ojezyczne odnalazł, i niepodobny ten drugi z gwiazdą czerwoną, szary, i niepodobny Manifest, i oczy, co go czytały. Wszystkie zmienione sprawy, miesiącu — kierunki i czyny; i myśli zmieniłeś nawet, i skutki, i przyczyny. Nad podziw byłeś silny, jak grom gwałtowny i srogi, i nawet w potęgę inny: szerszy od wichrów szerokich. Więc jedni cię pokochali, a drudzy — krwi z ciebie strugi... A tyś siebie ocałił dla jednych i dla drugich. Jakie imię twoje, letni, upalny miesiącu, niepodobny do czasu żadnego? Z jaką falą z dnia na dzień rosnącą niosłeś nas, do jakiego brzegu?

RYSZARD LISKOWACKI

Lipiec

1

Ten lipiec... ja myślałem: ogień, bo skrył ich ogień, gdy pytałem: dokąd? A to się niebo schyliło nad progiem, przez który człowiek przeszedł wolną stopą,

2

Z tego, co przetrwało, kiedy śmierć okłaskiwała żywych... Z tego, co przemieścił w sereach, kiedy nawet serce jest ciężarem zbytecznym... Z nadziei, która nie była matką głupich, z bólu, od którego piękniiali im twarze, z radości porzuconej w przyfrontowym rowie i ze śpiewu nagłego jak śmierć przyjaciela... Wyszedł na brzeg... Wyszedł na brzeg, na którym wierzyły tęskniły jak ludzie.

3

Ten lipiec, ten lubelski lipiec — Jakby z notesu polowego kartka: „Wrócić do domu. Do swej matki przybiec. Lecz dom daleko i daleko matka”.

Więc przejść ulicą wśród tych, co przeżyli, tych, co witają nas z drogi tułaczek: „Wrócić do domu. Matko, takiej chwili życzyć dziś innym. Matko, ja nie płaczę”. Śmieją się do nas ci, którzy z pogromu wyszli z nadzieją i sercem otwartym: „Wrócić do domu. Do swojego domu. Zobaczyć dom ten czy żywy, czy martwy”.

4

Iść trzeba było dalej, aż poza horyzont — i nowych ludzi witać, i żegnać wleż przyjaciele, i wierzyć w dzień wstający dekorowany krzyżem... Tak, aby przynieść życie, wpięć trzeba życie stracić.

5

Ten lipiec... któż go zapomni w tym kraju popękany i tęsknot i marzeń — Lipiec, w którym słońce jest jak najwyższy pomnik. Lipiec — pierwszy miesiąc w moim kalendarzu.

## Pochwała nieco skażona zrządzeniem ZBIGNIEW WIELICKI

Niedawno powrócił z podróży koncertowej po Europie dwie wybitne orkiestry, a w każdej z nich gra przeszło 100 muzyków: Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia z Katowic (jej rozwój związany jest z Rowickim, Fitelbergiem, i Krenzem) i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej z Warszawy (jej rozwój to Rowicki, Wodiczko i znowy Rowicki).

W historii kultury i sztuki Polski gdzieś jest miejsce i dla Filharmonii Lubelskiej i jest to bodaj pierwsze miejsce w historii kultury i sztuki ostatniego piętnastolecia w Lublinie. Nie w tym przecie rzecz, że w kwintecie smyczkowym orkiestry Filharmonii Narodowej w pełnym składzie gra 70 muzyków, a u nas tylko 30. Istnienie Filharmonii w Lublinie jest wprawdzie uzależnione od frekwencji, z którą jest

niedobrze, podobnie jak i w całej Polsce, lecz znaczenie samego faktu istnienia polega na tym, że mamy możliwość zapoznawania się bezpośredniego z największymi arcydziełami światowej literatury muzycznej i najwznioślejszymi przejawami ducha ludzkiego. I choćby w najbliższym dziesięcioleciu Teatr wystawił „Burzę”, „Sen nocy letniej”, „Kupca weneckiego”, „Romeo i Julię”, „Makbeta”, „Hamleta”, „Króla Lira” i „Otella”, a Operetka od dawna zapowiadane i uwspółcześnione „Przygody pod czerwoną pierzyną”, to i tak nie może to wpłynąć na prymat Filharmonii, dającej co tydzień „premiere” i coraz więcej pierwszych wykonań lubelskich. Było z nią źle i z różnych przyczyn wcale nie jest jeszcze dobrze, jednak partytura, płyty, taśmy magnetofonowe i radio nie zastąpią żadnemu miłośnikowi muzyki tego, co jest bezpośrednio związane z samą obecnością na sali koncertowej, na żywym koncercie.

Dwa ostatnie sezony koncertowe Filharmonii Lubelskiej, prowadzone przez dyrektora i kierownika artystycznego Andrzeja Cwojdzickiego z udziałem dyrygenta Mariana Lewandowskiego i dyrygentów polskich i zagranicznych, występujących gościnnie, przyniosły uderzającą poprawę programową i — jeśli mi o tym sędzić wolno — wykonawczą, a coraz częstsze występy znakomitych solistów zagranicznych pozwalały ludziom się, że Lublin nie jest

Polską B. Choć kiedyś atakowałem linię repertuarową Filharmonii w „Kamienie” z mojego bardzo osobistego punktu widzenia, to jednak nie mogę odmówić sobie przyjemności wymienienia najważniejszych pozycji programu z tych ostatnich wyróżniających się obu sezonów, ponieważ wzbogacił się o:

J. S. Bacha *Pasję wg Św. Mateusza*; Mozarta *trzy ostatnie symfonie*, *Requiem*;

Beethovena *wszystkie symfonie* (dziewięć), *cztery koncerty fortepianowe i koncert skrzypcowy*; Brahmsa *wszystkie symfonie* (cztery), *oba koncerty fortepianowe i koncert skrzypcowy* oraz *kwintet fortepianowy g-moll*;

Debussy'ego *wszystkie nokturny* (trzy) i *rapsodie klarnetową* oraz *dwa tańce na harfę i orkiestrę*; R. Straussa *„Till Eulenspiegel”*;

Karłowicza *„Oświecimów”* i *„Epizod na maskaradzie”*;

Szymanowskiego *IV Symfonię* i *„Harasiosów”*;

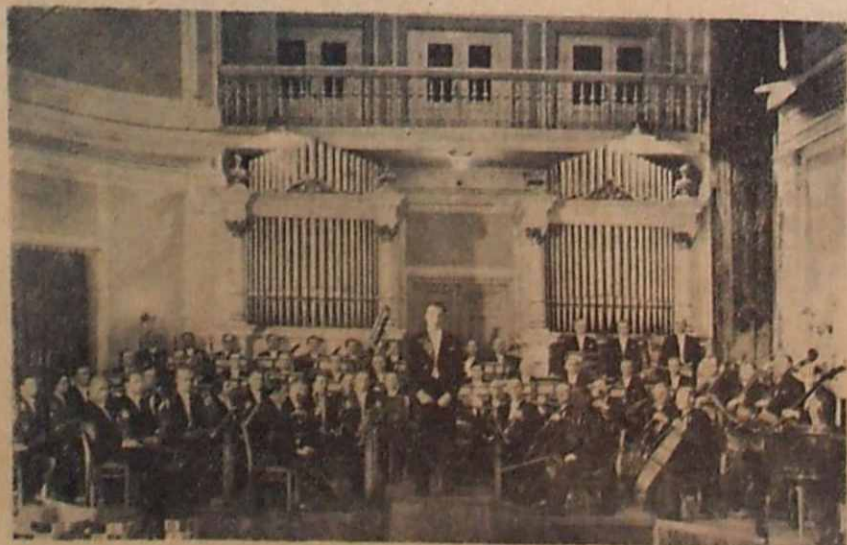
Prokofiewa *„Romeo i Julię”* i *III Koncert fortepianowy C-dur*; Szostakowicza *X Symfonię* oraz o utwory Milhauda, Gershwina (Koncert fortepianowy), Brittena, Perkowskiego, Kisielewskiego, Spisaka, Lutostawskiego, Panufnika i Bairda.

Nie mogę odmówić sobie przyjemności wspomnienia koncertów w Lublinie pianistów: MALCUZYŃSKIEGO, KATCHENA i MITCHELL (USA), BERNHEIMA, SANCANA i RINGEISENA (Francja), LESSONY (Włochy), skrzypka HARTHA (USA), harfistki ZOFF (NRD), klarnecisty RIHY (Czechosłowacja) i JUILLIARD STRING QUARTET (USA). Nie mogę sobie odmówić szczególnej przyjemności wymienienia lubelskiego CHORU „ECHO”, bez którego nie byłoby w ogóle mowy o wykonaniu szeregu dzieł oraz wybijającej się śpiewaczki lubelskiej, dzięki której o tyle piękniej wypadła *Pasja* bachowska, p. HELENY SWIDY-SZACIŁOWSKIEJ i lubelskiego zespołu kameralnego (TAMARA BOGDANOWSKA, BOLESŁAW LYP, HENRYK WYRZYCKI, ALEKSANDER KOZIOL, RYSZARD LOSAKIEWICZ), grającego Brahmsa kwintet, a piszącemu te słowa Brahmsa sprawla wyrażoną satysfakcję. Wymieniam tu tylko te koncerty, na których sam byłem.

Nieliczne grono lubelskich miłośników muzyki zna mnie z krytycznego i często sarkastycznego usposobienia. Jednakże dobrze się stało, że nie było mnie w kwietniu zeszłego roku... w Londynie. Nie imponują mi te 32 koncerty symfoniczne, które wtedy się tam odbyły, mógłbym bowiem wysłuchać wtedy 15 utworów Beethovena, 13 razy Mozarta, 9 — Brahmsa, 7 — Czajkowskiego, 6 — Mendelssohna, 4 — Schuberta, Sibeliusa, R. Straussa i Dworzaka i 3 — J. S. Bacha, Haendla, Schumanna i Borodina. I tylko jeden raz Bartoka. O reszcie nie ma co i wspominać. Wyraźnie widać, że ten kwietniowy program był przewidziany dla słuchaczy, którzy nie myślą o tym co słyszą, ale o tym co sobie wyobrażają. A stara to już prawda, że istotnie muzykalne słuchanie utworów skomplikowanych staje się wyczerpującą pracą. Czerny-Stefańska powiedziała, że jako odbiorca jest wielką zwolenniczką muzyki współczesnej i że człowiekowi żyjącemu współcześnie powinna ona być najbliższą. Ba! — powinna... Jakże powinna, jeśli zaraz potem Czerny-Stefańska stwierdziła, iż jako odtwórca woli się do tego nie brać... Więc kto się ma właściwie brać, jeśli wszyscy młodzi pianiści są albo przed, albo po konkursie chopinowskim.

Sytuacja nie jest wesoła. Grozi nam właśnie, że kolejno przyjadą do Lublina z koncertem fortepianowym Griega Czerny-Stefańska, Hesse-Bukowska i Harasiewicz (zapewne właśnie opracowuje teraz ten „nowy” repertuar). Można się pocieszać, że nie będzie w następnym sezonie konkursu im. Wieniawskiego. Ale będzie coś o wiele lepszego: Millennium i odpowiedni urzędnicy już wysłali plody swego ducha. Grozi nam właśnie zalew muzyki tak zwanej narodowej, grozi nam rocznica Padewskiego i „Step” Noskowskiego. To wszystko grozi nam, ale nie Warszawie. Nie grozi to również radiostacji warszawskiej nadającej cudowne koncerty dla elity emigracyjnej. Podaje, że koncertów tych słuchać można od godziny 23.30 do godziny 1 w nocy, ale długości fali nie mogę podać, zresztą jest ona złośliwie zagłuszana przez brzęczyki „Głosu Ameryki”. Ostrzegam prawdziwych miłośników muzyki przed Zelańskim i Statkowskim, przed kompozytorami młodymi sercem naszym, przed tymi kompozytorami o wielkich zasługach dla naszej kultury muzycznej.

(Dokończenie na str. 15)





# STRUKTURA

Nr 3

15-31.VII.59

## dział \* KAMENA \* plastyczny

### Motto:

„Gdy wieje wiatr historii,  
ludźom jak pięknym ptakom  
rosną skrzydła, natomiast  
trzęsą się portki, petakom”.

K. I. Gabczyński

Trzeba i w „Strukturach” uczcić piętnastolecie, zamieścić coś poważniejszego o Lublinie — pierwszej stolicy Polski Ludowej. Z tą myślą zwróciliśmy się do szeregu osób, zapytując, jak oceniają po tylu różnych przeżyciach dziejowych lubelskie środowisko plastyczne. Niektórzy z naszych rozmówców, rozjeżdżawszy się bacznie po bokach, dali kilka wymijających odpowiedzi i szybko czmychnęli, tak że redakcja „Struktur” nie była w stanie ich dogonić. Innym włączyła się z uporem międzymiastowa, a redakcja „Struktur” dziwna na ogół z automatów telefonicznych i wkrótce wydała wszystkie piętnastociogroszówki. Ale byli i tacy, którzy odpowiedzieli na nasze pytania. Są to ludzie sympatyczni: znana plastyczka lubelska, do niedawna prezes miejscowego oddziału ZPAP — pani Barbara Wengorek, znana literatka i redaktorka „Kamenu” — pani Maria Bechczyc-Rudnicka, oraz znany krytyk artystyczny i publicysta, redaktor wielu pism i wykładowca KUL — pan Jacek Woźniakowski. Poniżej uczestników ankiety ciągle jeszcze było za mało, choć już reprezentowali trzy najbardziej nas intere-

sujące środowiska twórcze, musieliśmy jeszcze kogoś dokooptować. Okazał się nim jeden krytyk plastyczny, który — nie wiemy jak to się działo — ciągle się nam mylił z nami samymi — pan Jerzy Ludwiński. Powiedzieliśmy mu, żeby więcej tego nie robił, szczególnie podczas wypełniania naszej ankiety.

Może jesteśmy natwoni, ale już z góry cieszymy się jak dzieci, że do końca lipca nadeślą do redakcji „Kamenu” odpowiedzi na naszą ankietę wszyscy ci, którym naprawdę zależy na dalszym pomyślnym rozwoju sztuki lubelskiej. Mamy nadzieję, że już te cztery publikowane głosy wywołają gorącą dyskusję. Można więc będzie, odpowiadając na pytania ankiety, równocześnie polemizować z innymi dyskutantami. Z góry dziękujemy za liczne wypowiedzi.

A tak oto przedstawia się nasza ankieta:

I. Co sądzi Pan (Pani) o lubelskim środowisku plastycznym?

II. Jakie, zdaniem Pana (Pani), są największe jego osiągnięcia?

III. Co się Panu (Pani) najbardziej nie podoba w atmosferze plastycznej Lublina?

IV. Co należy zrobić, aby ożywić życie plastyczne w tym mieście?

V. Których artystów lubelskich uważa Pan (Pani) za najbardziej wybitnych i interesujących (prosimy wymienić nazwiska)?

### JACEK WOŹNIAKOWSKI:

I—II. Uważam za rzecz dosyć niezwykłą, że istnieje grupa młodych malarzy (część z nich nie należy zresztą, jak dotąd, do Związku Plastyków), którzy nie malują na gwałt, aby coś pokazać na Wystawie Okręgowej, tylko pracują tygodniami czy miesiącami nad jednym obrazem, zarabiając jak się da i gnieźdząc się na strychach, ozdobionych czasem wannami. Nieprawdą jest, jakoby w wannach tych działały się rzeczy zdradne, natomiast prawdą jest, że stoją w nich różne drogie lakiery, kity, druty i inne zdumiewające rzeczy, z których przy dużym nakładzie kosztów i znacznym deficycie skromnych budżetów powstają bardzo dziwne przedmioty, przedmioty meta-

foryczne, przemyślane konstrukcje, które nie służą niczemu, tylko poezji i wyobraźni. Może ktoś uzna, to świadectwo moralności za wytwór sumienia. Ale istotnie z malarzami z grupy „Zamek” wypilem niejedną flaszkę wina. Ale i to także jest dosyć niezwykłe: nas przychodzi się do nich na wino, żeby coś zastawić, diabeł interesu, sztuczka kusa, nie bledzi w winie na dnie. Sledzi tam chuchlik dyskusji, dowcipu, sporu o sztukę, duch przekory i duch skupionej kontemplacji. Tak, tym malarzom rzeczywiście chodzi o malarstwo. W kraju i za granicą nieczęsto trafia się podobny fenomen.

V. Przede wszystkim Włodzimierz Borowski, a dalej — Jan Ziemiński i Tytus Dzieduszycki.

### JERZY LUDWIŃSKI:

I. Kiedyś doszedłem do wniosku, że dobrze by było sporządzić coś w rodzaju lubelskiej kroniki plastycznej przynajmniej ostatnich piętnastu lat. Szybko zrzuciłem się. Początkowo, gdy Lublin był jeszcze stolicą, ruch artystyczny w naszym mieście był dość żywy. Przybywali tu różni, znani dziś dobrze, artyści z całej Polski. Ale później...

1947 — wystawa okręgowa.

1948 — wystawa okręgowa.

1949 — wystawa okręgowa.

I tak dalej, aż gdzieś do roku 1956. Nie, Lublin w tych czasach na pewno nie był ośrodkiem plastycznym. Teraz jest dużo lepiej. Dziś zainteresowanie Lublinem jest w Polsce znacznie większe, niż nam się wydaje. Uważam, że na om szanse stać się ośrodkiem plastycznym o poważnym znaczeniu.

II. Od roku 1956 dają się zaobserwować pewne fakty, natury zarówno organizacyjnej, jak i artystycznej, które można podciągnąć pod mlano: nasze osiągnięcia. Muzeum Lubelskie otworzyło wreszcie stałą galerię sztuki polskiej i od niedawna prowadzi niezwykle interesującą politykę wystawową (grafika holenderska, Potworowski), CBWA otrzymało do wyłącz-

nego władania piękny salon wystawowy, z którego zresztą nie bardzo wie jak korzystać. Lubelski Dom Kultury na Zamku też nie pozostał w tyle i zainicjował ciekawą serię wystaw (Kantor, Bogusz, Rudowicz, Łabiniak, pokazy prac amatorów i dzieci, itp.), a równocześnie odczytów i dyskusji o sztuce. W różnych klubach i klubkach ludzie organizują prelekcje i dyskutują o sztuce z zapałem (np. wielka impreza pn. „Nowoczesność, rzecz uzurkująca”). Zastanawiam się w tej chwili, czy lubelski Związek Plastyków jakoś współuczestniczył w całym tym ruchu? Chyba nie...

A osiągnięcia artystyczne? Na pewno były nimi obydwie wystawy jubileuszowe: Zenon Kononowicz i Władysław Filipiak pokazali tam dobre malarstwo. Ciekawe były wystawy Barbary i Lucjana Wengorek oraz Zbigniewa Podelchowskiego (choć mniej dostojne od dwu poprzednich).

Ale moim skromnym zdaniem, osiągnięcia na większą skalę były dziełem dopiero grupy „Zamek” i jej dwu ostatnich wystaw: warszawskiej i krakowskiej. Ruch na obydwu wernisażach panował olbrzymi, polska opinia artystyczna przyjęła to nowe zjawisko z entuzjazmem. „Zarówno twórczość tego malarza (mowa o Włodzimierzu

### MARIA BECHCZYC-RUDNICKA:

Odpowiadając na pytania Waszej ankiety z całą szczerością, przysporzę sobie niezawodnie wrogów. Trudno! Cywilna odwaga jest koniecznym składnikiem uczciwego stosunku do sztuki.

I. A więc — lubelskie środowisko plastyczne? Sądzę, iż jest ono „lubelskie” w sensie przynależności terytorialnej poszczególnych artystów. Nie stworzyło natomiast żadnej „szkoły” o specyfice lokalnej, bądź „bractwa” zjednoczonego wspólnym wyznaniem artystycznym. Tak samo jak nie ma wypracowanego własnego oblicza nasz teatr, ani nasze środowisko literackie nie stanowi grupy walczącej o wspólny program. Lublin nie jest zresztą pod tym względem w wyjątkowej sytuacji.

II. Największe osiągnięcia środowiska plastycznego?

a) W ostatnich latach — powstanie młodej grupy „Zamek”, która wydała zapewne przynajmniej jednego malarza, zdolnego powiedzieć swoją twórczością coś nowego w skali ogólnopolskiej.

b) Rozgłos zdobyty przez tę grupę na wystawach w Warszawie i Krakowie.

c) Uzyskanie przez nią w „Kamieniu” czterech kolumn na swe wypowiedzi problemowe. Na tych szpaltach powinni zaoferować głos również i plastycy zrzeszeni w Okręgu ZPAP, którym „Kamena” już przed rokiem ofiarowała gościnę, niestety nie wykorzystaną. A bo też trzeba przynajmniej jednego malarza, zdolnego powiedzieć swoją twórczością coś nowego w skali ogólnopolskiej. Jerzym Ludwińskim — na czele.

III. A co do tzw. „atmosfery”? Otóż drażni mnie niewymownie skłócenie ZPAP z grupą „Zamek” i wzajemne „podminowywanie się” związków, — stan mający swe źródło w sprawach poza-artystycznych. Antagonizm „starych” i „młodych” został wywołany niecierpliwością młodzieży imającej się pędzić i nietaktem paru dziennikarzy, którzy przereklamowali kilka lat temu w sposób absurdalny pierwszą wystawę plastyków-amatorów, czyniąc niekompetentne zestawienia osiągnięć początkujących malarzy z dorobkiem plastyków posiadających solidny warsztat. Konflikt pogłębiła zbyt nerwowa reakcja ze strony „starych”: zamiast potraktować sprawę „ojców i dzieci” z rozwagą, jaką nakazuje wiek dojrzały, poszli oni na udry i trwając do dziś

Borowskim — dop. mój), jak niebanalny charakter dążeń i doświadczeń artystów „Zamku”, pozwala grupę tę uznać za najciekawsze dziś bodaj zjawisko wśród aktualnych początków najmłodszej generacji naszych plastyków”. — Tak pisał w „Życiu Literackim” jeden z najwybitniejszych naszych krytyków — Janusz Bogucki.

Ciekawe, że o wystawach jubileuszowych rozpisywała się prawie wyłącznie prasa lubelska, natomiast grupę „Zamek” omawiano wyłącznie w pismach centralnych i krakowskich przy zupełnym milczeniu gazet lubelskich. Niezmiernie charakterystyczne!

V. W takiej kolejności: 1) Włodzimierz Borowski, 2) Jan Ziemiński, 3) Tytus Dzieduszycki. Poza tym podoba mi się jeszcze malarstwo Zenona Kononowicza i Lucjana Wengorka.

w dąsach, nie pomagają młodym w przedostaniu się przez kordon Związku, ani w otrzymywaniu stypendiów, do których dzisiaj już niejedni z nich miałby moralne prawo artystyczne.

IV. Podążając myślą konsekwentnie po tej linii wnioskuję, że do ożywienia lubelskiego środowiska plastycznego mogłoby się znakomicie przyczynić zgodne współdziałanie „starych” i „młodych”, ich częste koleżeńskie spotkania, połączone z wymianą poglądów na większe i mniejsze problemy warsztatowe, a przede wszystkim — obustronne poszanowanie zasady „stu kwiatów”.

V. I koniecznie mam wymienić z nazwiska najbardziej interesującego malarza Lubelszczyzny? Mój ty Boże, gdybyż Piotr Potworowski mógł być zaliczany do malarzy lubelskich! Ale posiadanie woli w Kazimierzu nie stanowi jeszcze o jego „lubelskości”. Zatem, zastępując skromnie wyraz „uważam” słowami „podobają mi się”, wymieniam: Kononowicz i Filipiak. Co nie oznacza bynajmniej, bym była niewrażliwa na Klee, Magnelego itd. Tak naprawdę jednak nie rdzewieję moja stara miłość do XIX-wiecznych francuskich i polskich impresjonistów. Ale to już jest dygresja. Pytano mnie o dzisiejsze lubelskie środowisko plastyczne.

### BARBARA WENGOREK:

I. Nie istnieje plastyka lubelska, ani środowisko lubelskie. Przez piętnaście lat nie potrafiliśmy sobie wytworzyć własnej, specyficznej atmosfery artystycznej, jaką ma na przykład Kraków czy Sopot. To jest typowa plastyka B, która nie wychodzi i nie chce wychodzić poza opłotki własnego podwórka (w tym wypadku — poza Lublin). Jedyne młodzi plastycy, nie zawsze zrzeszeni w związku, mają ambicję wyjścia z tego kręgu i to im się zresztą udaje.

II. Niewątpliwie wystawy grupy „Zamek” w Warszawie i Krakowie, między innymi właśnie przez świeży kontakt, jak ci malarze utrzymują z innymi środowiskami. A w ogóle największym wydarzeniem w plastyce Lublina było ostatnio pojawienie się działu „Kamenu” pod nazwą „Struktury” (dobrze o nas mówili! — dop. red.).

III—IV. Bardzo dużo mi się nie podoba i bardzo dużo trzeba by tu zmienić. Na te pytania, jeśli można, zazerwuję sobie jeszcze miejsce w ankiecie (Ależ, proszę — dop. red.).

V. Jan Ziemiński. Ale zdolni są również Włodzimierz Borowski i Tytus Dzieduszycki. Należałyby się im jakieś stypendia.

## Nowy zarząd Związku Plastyków

14 czerwca br. odbyło się Walne Zebranie Lubelskiego Oddziału ZPAP, na którym dokonano wyboru nowego zarządu. Prezsem został Władysław Filipiak; poza tym w skład zarządu weszli: Eugeniusz Baranowski, Jarosław Łukawski, Eugeniusz Pol, Stefan Sarnecki.

Pierwszym pozytywnym krokiem nowego zarządu były przyjęcia nowych członków, wśród których znaleźli się między innymi: Włodzimierz Borowski, Jadwiga Filipiakowa, Włodzimierz Gąszycki i Przemysław Zwoliński.

Nowemu Zarządowi składamy tą drogą serdeczne gratulacje i życzymy dalszej pomyślnej pracy dla dobra plastyki lubelskiej.



# W poszukiwaniu TRZECIEGO WYMIARU (III)

MARIUSZ TCHOREK

Tragedia malarza de Staëla żywo przypomina drogę twórczą Strzemińskiego. De Staël, jak można przypuszczać, również doszedł do wniosku, że kresem malarstwa abstrakcyjnego jest dwuwymiarowe białe płótno. Poza nim nie widział już nic; można tylko, jak sądził, powracać tą samą drogą, którą się szło naprzód: na początku tej drogi znajdowały się domki, do nich malarstwo, jeżeli chce istnieć, musi nieuchronnie zmierzać. Ujrzenie zaś tych domków w sposób odmienny, niż dotychczas przyjęty, stanowiło dla de Staëla rozwój pozorny. De Staël traktował więc swoje obrazy jako świadectwo nieodzownego upadku sztuki; Strzemiński zaś, który również powrócił do metody odtwarzania, nie upatrywał w tym powrocie oznaki załamania.

W sztuce abstrakcyjnej można wykręcić dwie metody twórcze, wywodzące się z obrazów Malewicza. Odpowiadają one percepcji rozczłonkującej oraz bezpośredniej. Pierwsza percepcja znalazła wyraz w rozwoju tzw. abstrakcji geometrycznej i wyraz ten zostanie tu omówiony na przykładzie twórczości Henryka Stażewskiego, druga zmanifestowała się najlepiej w tzw. taszystowskim malarstwie wolnego ruchu materii. Jeden z pierwszych obrazów Henryka Stażewskiego jest prawie zupełnym odpowiednikiem obrazu bez figury geometrycznej opisanego w punkcie 2. Idealnie biała płaszczyzna tego obrazu w połowie została pokryta fakturą przypominającą fakturę unistycznych obrazów Strzemińskiego. Początek drogi twórczej Stażewskiego wywodzi się więc bezpośrednio z obrazów Malewicza. Nie traktował on jednak swego białego obrazu jako „kresu” nowoczesnej plastyki, poza którym pozostaje ewentualnie odtwarzanie „powidoków”. Stażewski zaczął powoli rozczłonkować biały obraz, otrzymując dużą ilość obrazów o znacznej wielości form geometrycz-

nych, uporządkowanych w różnych systemach kompozycyjnych. Napięcie kolorystyczne tych form również oddalało się znacznie od bieli wyjściowego obrazu. Stażewski doszedł w pewnym momencie do owej granicy, poza którą zwiększanie stopnia komplikacji figur geometrycznych stało się już niemożliwe bez zachwiania estetycznej jedności. Ow największy stopień komplikacji odpowiada więc ostatniemu opisanemu okresowi malarstwa kubiistycznego. W tym okresie twórczości Stażewskiego mógł nastąpić u malarza okres kryzysu, odpowiadający załamaniu de Staëla i Strzemińskiego. Mogło się bowiem wydawać, że Stażewski jest skazany na powtarzanie tych samych, wypracowanych już systemów kompozycyjnych, lub też musi dokonać syntezy innej niż Malewicz, mianowicie syntezy elementów swych własnych obrazów, co wytworzyłoby błędne koło, prowadzące do wyjściowego obrazu białego. W tym momencie wykorzystał on jednak wnioski płynące z percepcji bezpośredniej obrazu bez figury geometrycznej (opisanej w punkcie 2 b), a szczególnie wniosek dotyczący przewyższenia płaskości obrazu (wniosek ten wykorzystał już przed Stażewskim Arp). Stażewski nie dokonał więc całkowitej syntezy wielości elementów, do której doszedł w pozornej kulminacyjnym okresie twórczości, byłoby to bowiem właściwie malowaniem tych samych obrazów, tyle że w odwrotnej kolejności. Rozpoczął tylko stopniowy proces syntezy koloru swoich obrazów, co, jak słusznie przypuszczał, musiało go doprowadzić do bieli obrazu wyjściowego. Nie dokonał natomiast syntezy figur geometrycznych, a więc nie naruszył wypracowanych przez siebie systemów kompozycyjnych. Malując obrazy po „okresie kulminacji” odrywał jakby kolor od powtarzającej się formy geometrycznej i łączył go z kolorem oderwanym od innej formy. Brak syntezy form okupił natomiast wykorzystaniem

wniosku o trójwymiarowości. W swoich ostatnich obrazach nadał bowiem swoim płaskim dotąd formom geometrycznym kształt trójwymiarowych brył geometrycznych, wznoszących się w różnych wysokościach nad powierzchnią obrazu. Jeden z ostatnich obrazów Stażewskiego (wystawiony niedawno w Zakopanem) posiada znów biel obrazu wyjściowego, zachował jednak pewną wielość elementów, wywodzących się z rozczłonkowania elementu Malewicza, jak też trzeci wymiar — dowody twórczego wpływu Malewicza na malarstwo nowoczesne.

Krytycy, pisząc o nowych przemianach w malarstwie, twierdzą zazwyczaj, że istnieje wielka przepaść między malarstwem wolnego ruchu materii a malarstwem geometrycznym. Wskazują, że obie metody twórcze są kontrolowane przez odmiennie sily psychiczne. W malarstwie taszystowskim widzą manifestację podświadomości, a w abstrakcji geometrycznej wyraz pełni sił świadomych, czy „skupionego intelektu”. Poza tym krytycy dodają, że odmiennie są reakcje estetyczne warunkowane tymi dwoma typami obrazów. Pierwszy ma wywołać poczucie chaosu i obrzydzenia, bowiem takie właśnie uczucie, tak twierdzą, wywołuje nasz świat zmierzający ku zagładzie. Kierunek drugi reprezentuje właśnie to, co jest w naszym świecie stałe, uporządkowane i spokojne (abstrakcjonista geometryczny Mortensen przenosi podobno na swoje obrazy proporcje zachodzące między przedmiotami, na jakie napotyka w codziennej przechadzce poza miasto). Interpretacje te nie tłumaczą jednak we właściwy sposób rozwoju malarstwa współczesnego, nie analizują bowiem praw decydujących stosunków, które zachodzą między samymi dziełami sztuki, prawa te zaś są pewne, jedynie w odniesieniu do tych dzieł sztuki, a nie ich twórców.

Brak ciągłości w sztuce współczesnej argumentuje się faktem, jakoby oczywistym, że ogląd obrazów taszystowskich i geometrycznych stwierdza zupełną odmienną wizualną. Przekonał się już jednak, że identyczne formy mogą posiadać przeciwną wartość estetyczną, można więc na tej zasadzie podać w wątpliwość twierdzenie, że odmienną wizualną dzieł sztuki jest warunkiem ich odmienności estetycznej. Twierdzenie to załamuje się w istocie, gdy porównamy obraz z jedną figurą geometryczną (opisany w punkcie 1) z typowym obrazem taszystowskim. Stwierdził się, że Malewicz stopniowo eliminował system kompozycyjny w procesie syntezy i usunął go całkowicie w momencie, gdy doszedł do wyodrębnienia jedynej figury geometrycznej czyli własnej pierwotnej materii malarskiej, która przestała być tą materią właśnie w momencie wyodrębnienia, została bowiem obdarzona wartością estetyczną wyeliminowanego systemu kompozycyjnego.

Gdy rozważymy z kolei metodę twórczą malarstwa taszystowskiego, uderzy nas identyczność tej metody z metodą twórczą Malewicza. Malarz-taszysta również stopniowo eliminuje system kompozycyjny, wyodrębiając na koniec swa czysta materię malarską, w chwili gdy pochłonięta ona całą wartością estetyczną usuniętego systemu. Można by postawić pytanie, jaki to system

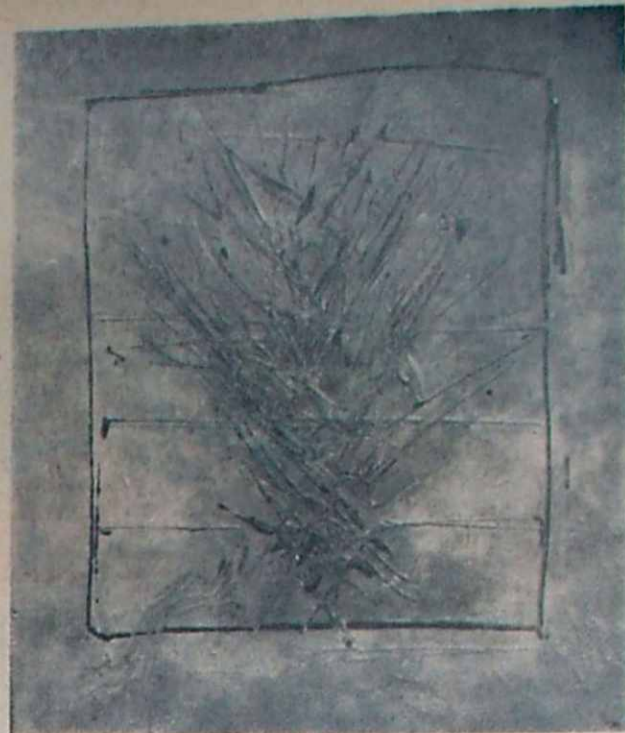
kompozycyjny malarze-taszysty eliminują i czy czynią to w procesie syntezy. Jaka więc wielość w malarstwie przez nich zastany jest odpowiednikiem wielości w obrazach kubistów, poddanej syntezie przez Malewicza. Można wskazać właśnie na wielość istniejącą na obrazach abstrakcji geometrycznej. Podobnie jak Stażewski po „okresie kulminacji” wyzyskał wielość form geometrycznych swych własnych obrazów, tak taszysty (można wskazać wielu malarzy, których obrazy stanowią łagodne przejście między abstrakcją geometryczną, a taszystem) również do swych celów wykorzystali skomplikowany system kompozycyjny malarstwa geometrycznego. Nie pozostali oni jednak, tak jak Stażewski, przy formach geometrycznych, w ogóle zrezygnowali z jakichkolwiek elementów wyraźnie oddzielonych, zastąpili je bowiem równie istotnym elementem malarstwa, mianowicie zastygającą cieczą, która służyła dotąd do zabarwiania owych form geometrycznych. Widzimy teraz, że pozorna i nieistotna jest różnica między abstrakcją geometryczną, a taszystem, kierunki te mają podobną wartość estetyczną i wywodzą się ze wspólnego źródła.

Narzuca się na koniec pytanie, czy skoro istnieje w malarstwie ostatniego okresu odpowiednik obrazu Malewicza z jedną figurą geometryczną, można wskazać w tym okresie jakieś przejawy dalszego rozwoju, mianowicie odpowiedniki obrazu, z którego figura geometryczna została usunięta, a więc, inaczej mówiąc, czy dadzą się wskazać w tym okresie jakieś wyraźne tendencje trójwymiarowości?

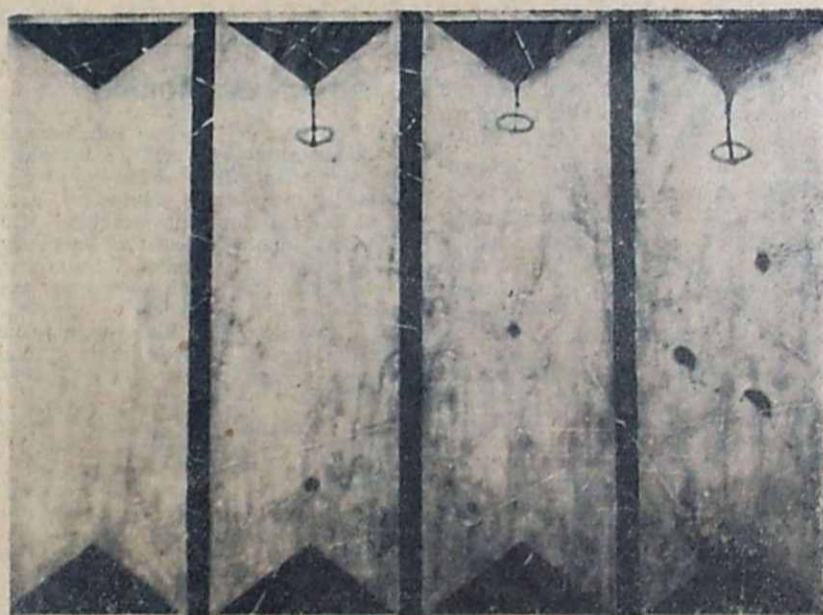
Tendencja ta została u nas w istocie wyrażona niezmiernie oryginalnie w obrazach Włodzimierza Borowskiego, wystawianych niedawno w Warszawie i Krakowie na wystawie grupy „Zamek”. Pokazał on dwa typy obrazów. Jeden z nich stanowią dwa obrazy, których głównymi elementami jest biaława płaszczyzna nosząca cechy wolnego ruchu materii oraz rząd prawie czarnych trójkątów jednakowej wysokości, skierowanych wierzchołkami do wnętrza obrazu, a opartych jednakowymi podstawami o boki obrazu. Ten właśnie fakt, że trójkąty oparte zostały o „ramę” obrazu, wskazuje na istnienie czegoś poza płaskim umownym prostokątem obrazu. To „coś” to właśnie trzeci wymiar. Po siada on jednak w obrazach Borowskiego naturę wyłącznie pojęciową, brak mu bowiem konkretyzacji materialnej, która należałaby do jedności estetycznej. Mamy więc tu przypadek pośredni między obrazem płaskim, a wizualnym obrazem trójwymiarowym. Trzeci wymiar, mimo że zachowuje postać pojęciową, stał się dla nas daną bezpośrednią tych obrazów. (Pojęciowe przedstawianie pewnych elementów obrazu stanowi pasję skandynawskiego malarza Bertlinga, który np. przedstawia punkt przecięcia dwóch linii poza konkretyzacją materialną obrazu, kreśląc na samym materialnym obrazie jedynie odcinki linii zmierzających do przecięcia. W trakcie percepcji „dorysowujemy” jakby dalszy ciąg owych linii, aż do punktu ich przecięcia).

Drugim typ obrazów Borowskiego stanowi kontynuację rozpoczętych po-

(Dokończenie na str. 9)



JAN ZIEMSKI — OBRAZ, 1958



Włodzimierz Borowski — Obraz, 1957



Antonio Tapies — Obraz, 1955





Mowa oczywista o wiadomościach z zagranicy: ze Wschodu, Zachodu, z Paryża i skąd się da. Tym razem „nowinki” są nieco spóźnione (z kwietnia i maja), ale dotyczą zjawisk charakterystycznych, więc publikujemy. Zresztą moda w malarstwie nie liczy się na sezony. Wydarzenia, o których donoszą nam z Paryża pani Erna Rosenstein i pan Aleksander Henisz, nie są może tak doniosłe, jak wystawy Japończyków czy Amerykanów (malarstwo abstrakcyjne bezformne), pokazują jednak dosyć dobrze kierunek zmian w malarstwie światowym: stopniowe przechodzenie od burzliwej, przypadkowej spontaniczności do precyzyjnie organizowanego intelektualizmu. Może wynikiem tego są owe „cybernetyczne” maszyny ruchowe, które należą trochę do przedmiotów sztuki (ale już nie do obrazów), a trochę do twórców natury.

## KILKA LUŻNYCH NOTATEK Z JEDNEJ Z WYSTAW PARYSKICH

ERNA ROSENSTEIN

SALON DE COMPARAISON

Akurat podczas oglądania tej wystawy pomyślałam, że — być może — takie przypadkowe, nie posegregowane notatki, bez pretensji do obiektywnej trafności, oddadzą czytelnikowi atmosferę tutejszych wystaw. Dobór omawianych obrazów — dowolny. Chciałam tylko zanotować, w jaki sposób i co najintensywniej zobaczyłam na każdej z omawianych sal. Nic więcej...

Pierwsza sala. Autor Key Soto. Poorany kamień skalny, przechodzący z dwu stron na krańcach obrazu w sepię. Cały z lekką zapuszczony sepiowym laserunkiem, gdzieś łagodzącym, gdzieś gdzieś wzmacniającym modelunek powierzchni. Poryty. Tu i ówdzie w nienatrefnym rytmie linearnie bruzdy. Tu i ówdzie jakby posadzone kamienie różnej wielkości, niekształtne, koliste lub zbliżone do kwadratów. Jasne jak przybrudzona kość lub świecące z głębi laserunkową sepią. Całość po bar-

dzo długim wpatrywaniu się lekko fałuje, jak każdy twór przyrody.

Inna sala. Tu z miejsca działa urok nierychomego przedmiotu. Są to małe, bardzo statyczne i bardzo ciche obrazy przedstawiające. Np. malarz Passeberg. Trzy jajka na drewnianym stole. Bardzo gładkie i prześwietlone tą samą, co deska stołu, kremowością. Wymodelowane zupełnie niewidocznym pędzlem. U dołu i u góry obrazu prostokąty brązowo-czarnego tła. Poezja widzianego przedmiotu, w którym zawarta jest „cała obiektywność świata”. Jednorazowość, a zarazem trwanie takiej zamkniętej formy! Malarstwo na granicy Holendrów i surrealizmu.

Obok mały pejzaż z drzewami o drobniawo wypracowanych listkach. Świecący i dokładny jak obrazki ze starożytnych klocków do układania. Dalej niewielki obraz z wiszącymi niedbale kluczami na gładkiej różowobeżowej ścianie. Wiszą na niej również nożyczki, list i kawałek lusterka; w nim — wycinek twarzy. Spokojnie patrzące jedno oko. To wszystko w prawie jednotonowej gamie. Nazwisko malarza — Deceuel.

Jeszcze bardzo ciemna martwa natura. Jeszcze pejzaż w grubych ramach, bardzo cichy i uroczysty...

Dalsza sala. Ruch! Agresja ze wszystkich ścian! Formy wytryskują z głębi obrazu. Zlatują w przepaść. Naprzeciw mnie inny obraz. Coraz bardziej wynurzające się z niewidzenia i znikające w innych miejscach obrazu światła. Ich świecenie i kolor przedostają się z głębi. Oko wędruje od przejrzystości do gęstości po zwyczajnych formach, porywających w niejednostajny obrót. Malarz Ney Lancelet.

Opodal obraz poruszający się całkiem dosłownie. Autor Frank Malina. Jest to jakby mały ekranik, za którym porusza się mechanizm. Z cieniście zamglonych kształtów wynurzają się kształty prawie wyraźne. Rozjarzają się kolorami! Jeszcze wyraźniejszą i znowu gasną! Majestatyczność tego wiecznego porządku rzeczy. A przy tym uczucie, że dano nam zobaczyć świat realnie za kwadratem tego obrazu istniejący. Nie jest to tylko gra światła rzuconych przez taśmę filmową na płótno. To jest naprawdę! To jest w samej skrzynce obrazu.

Przypominają się kinefory Pawłowskiego, których sens w swoim czasie całkowicie zmieniono przez sfilmowanie. Było w nich przecież także pokazanie realnie zmieniających się kształtów, a nie zdjęć filmowych. Tylko, że Pawłowski nie zamknął ich w kwadrat obrazu i nie uwiecznił ich ruchu. Były to ciągle improwizacje. Na wieczorach Pawłowskiego miało się uczucie, że istnieje coś realnego, co nie ma wyraźnych granic, a tylko w pewnym miejscu rozżarza się, nikiąc poza tym w ogólnych ciemnościach. Jeszcze krok, a ustali się na dobre, a tymczasem znowu zanika jak zjawy leśmianowskie, które nie mogą się urealnić. Dużo jest jeszcze sal w Salonie Porównań. Wybrałam trzy.

# Adolph Gottlieb

ALEKSANDER HENISZ

Omawiając wystawę młodego malarstwa amerykańskiego \*) wspomnieliśmy krótko o Gottlieb. Przyznam się, że dzieło jego wydawało mi się jednym ze słabszych. Kula — przeciwstawiona jakiejś rozgałęzionej, sekaty, czarnej formie, skojarzona z „katakstrofą atomową, zbyt w linii „Szkoły Amerykańskiej”. Prace z wcześniejszej epoki przypominają sugerystę Herbin, którego formy-trójkąty, koła i kwadraty zostały po prostu u Gottlieba za tarte. Jeśli była to próba polemiki przetworzenia założeń Herbina, to argument był zbyt łatwy, nie nowego nie wnoszący.

W dwa miesiące po „Młodych Amerykanach”, Galeria „Rive Droite” zorganizowała indywidualną wystawę Gottlieba. Jest ona dla mnie niespodzianką; zarówno co do formy malarstwa artysty, jak i co do drogi przebytej w rozwoju Gottlieba. Jak pracuje Gottlieb? „Osiągam stan natchnienia, tracę wszelką świadomość, malując odczuwam, jak gdyby ręką niewidzialną, kierującą moją szczotką. Moja twórczość jest osobista. Czuję potrzebę zapełniania dużych powierzchni. Formy stają się wyrazistsze, rozprzestrzeniają się i to daje mi satysfakcję”. Mimo tych wypowiedzi, obrazy Gottlieba są bardzo zdecydowanie skonstruowane.

Pierwsza epoka to misterne „Pictograph”, które uderzają czystością swych określeń. Jeśli pewne rozwiniecie arabskie niemal „automatyczne” zbliża go do Pollocka, to w końcu, mimo potraktowania jako równie ważnej każdej części powierzchni obrazu — momenty podziału i pewne akcenty, czasem figuratywne — wiążą obraz i tworzą go, niwecząc jego znaczenie dekoracyjne. Mimo że Gottlieb wypiera się, jak wszyscy Amerykanie, świadomego dociekania, przebija ono przez

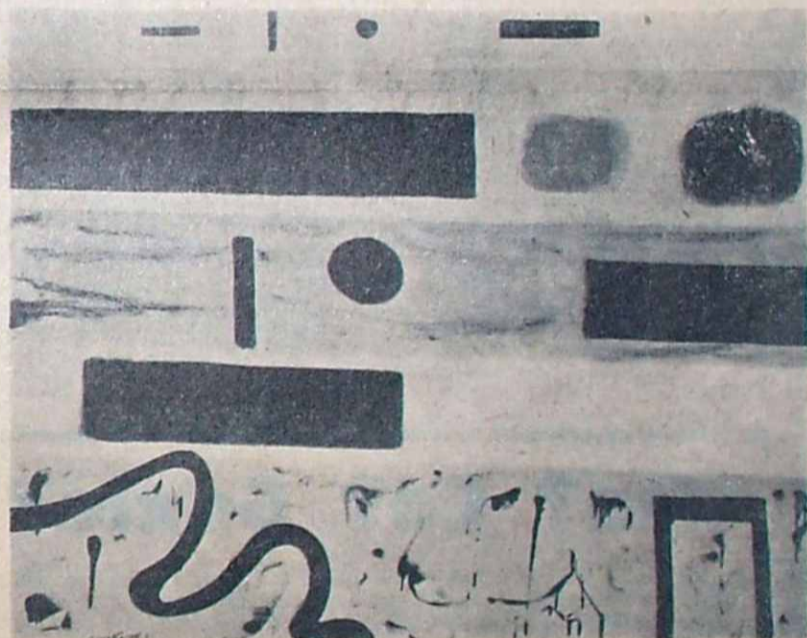
pismo hieroglifowe, które chciałoby się w jego obrazach widzieć.

Obraz z epoki przejściowej 1954 r. Kiedy w jednym ze swych mocno określonych kolorem pasów artysta wprowadza rodzaj pisma, ma to raczej znaczenie ożywienia całości — mocno zaznaczone formy i ich wzajemna zależność wiążą i konstruuje obraz, podzieliły na pasy i ich różnorodne potraktowanie stwarzają wtórny ruch.

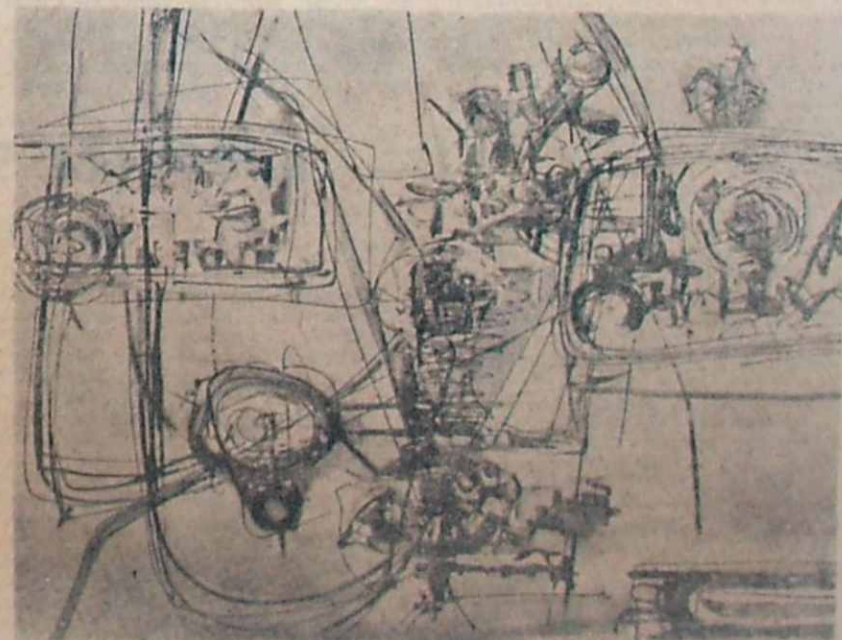
Trzecia epoka: studia owalu lub owali, silnie kolorowe, stwarzające swą masą „szok”, przeciwstawione bądź to plamom mocno zarysowanym, sugestywnie rozgałęzionym, bądź to bogatej, kolorowej powierzchni, o fakturze niemalże bonnardowskiej, zapraszającej do całego szeregu dalszych dociekań.

Malarstwo Gottlieba, mocno zbudowane, mimo teoretycznego powiązania go z „magią” Pollocka, z buntem „malarzy czynu i gestu”, jest odrębną pozycją. Inteligencja i świadomość grają w jego twórczości rolę pierwszoplanową — otóż są to wartości, które rewolucyjny ruch „czynu, energii i gestu” odrzuca, zdając się na instynkt i przypadek. Gottlieb, uznając te zasady, musi czuć, by kierowanie „magią” i kontrola plamy rozpryskiwanej nie były dla widza zbyt oczywiste. Sytuacja jego jest paradoksalna: głosi hasła przeciwne najistotniejszym wartościom swego dzieła, a te pomija milczeniem. Tylko pozornie dzieła Gottlieba można zaliczyć do „Szkoły Amerykańskiej”. Dociekliwość jego i krytyczny polemizm w korzystaniu z odkryć współczesności może rzucić pomost między szkołą New York a tradycją europejską. W tym sensie artykuł Greenberga, spodziewającego się wiele właśnie w rozwoju i przyszłości Gottlieba, staje się zrozumiały. Synteza, zamiast kompromisu — zorganizowanie własnej poezji „katakstrof” — mogą otworzyć nowe drogi w sztuce.

\*) GALERIE RIVE — DROITE  
PARYŻ, KWIECIEŃ 1959



Adolph Gottlieb — Obraz, 1954



Jerzy Kujawski — Z I wystawy „Phases” 1954

## W poszukiwaniu trzeciego wymiaru

(Dokończenie ze str. 8)

szukiwani trzeciego wymiaru. Na obrazach tych spostrzegamy już pewne bryły trójwymiarowe. System kompozycyjny tych obrazów potwierdza prawdę, że obrazy ostatniego okresu, z pozoru zupełnie przeciwstawne abstrakcji geometrycznej, właśnie z niej się wywodzą. Borowski rozłożył owe trójwymiarowe elementy według systemu kompozycyjnego abstrakcji geometrycznej, takiego jednak, który stanowi ostatni, graniczny etap systemu kompozycyjnego w procesie jego eliminacji i wyodrębniania materii malarskiej. Nakreśliwszy oto na kilku obrazach fragment osi symetrii tych obrazów, rozłożył w równych od niej odległościach zupełnie identyczne wizualnie, trójwymiarowe bryły. System kompozycyjny oparty na tak pojętej symetrii stanowi więc moment graniczny jakiegokolwiek systemu kompozycyjnego. Malując w swych obrazach zawierających pewną wielość, a więc co najmniej dwie figury geometryczne, również stosował „graniczny” system kompozycyjny, bardzo podobny do symetrycznego systemu Borowskiego. Oto malował np. kwadrat w kole, o wspólnym środku, będącym jednocześnie jednym z punktów na osi symetrii obrazu.

Łatwo teraz pojąć jak logicznie z doświadczeń omówionych tu malarzy wynikają dzieła skrajnie trójwymiarowe, tworzone już często przez artystów francuskich i hiszpańskich. Opisy ich obrazów, rzeźb, twórców częstokroć poruszających się samodzielnie, pojawiły się już kilkakrotnie w tygodnikach plastycznych w naszym kraju. Dzieła te są uwięzieniem logicznego i ciągłego rozwoju sztuki nowoczesnej.

Mariusz Tchorek



W ocenach biora udział:

URSZULA CZARTORYSKA (Warszawa)  
HANNA PTASZKOWSKA (Warszawa)  
JANUSZ BOGUCKI (Kraków)  
WISŁAW BOROWSKI (Warszawa)  
JERZY MADEYSKI (Kraków)  
JERZY LUDWIŃSKI (Lublin)

Wszyscy cieszymy się niezmiernie, że do naszej zabawy przyłączył się redaktor „Piastyki” — pan Janusz Bogucki oraz jego współpracownik — pan Jerzy Madeyski. A do innych miast nadal jeszcze nie potrafiłmy dotrzeć. Ponieważ dzieje się tam na pewno ciekawe rzeczy, prosimy organizatorów wystaw o nadsyłanie nam informacji.

Uwaga! Ważna jest również kolejność wystaw.

## wybitne

„PHASES DE L'ART CONTEMPORAIN” Kraków, „Krzysztofory”, ul. Szczepańska 2. Wernisaż bardzo huczny 8 lipca. Wielka wystawa awangardy światowej, biorą w niej udział artyści z różnych krajów, głównie z Francji, Włoch i Niemiec. Ruch „Phases”, grupujący się od r. 1934 wokół pisma o tej samej nazwie, redagowanego przez Edouarda Jaguera, stanowi dzisiaj najbardziej radykalny odłam awangardy ogólnoswiatowej. Uczestniczą w nim prawie wszyscy, którzy w tej chwili mają w sztuce coś nowego do powiedzenia. Przeważająca tendencja jest abstrakcją bezformalną (l'informel), kształtowana zresztą bardzo różnie, ale zdarza się tu również surrealizm. „Phases” nie ma bowiem jednolitego programu artystycznego. A węc w Krakowie sensacja na wielką skalę!

Malarstwo francuskie od Gauguina do dnia dzisiejszego było w czerwcu ekspozowane w Krakowie w nowym gmachu Muzeum Narodowego, ul. 3 Maja 1, a nie jak mylnie poinformowaliśmy — w Pałacu Sztuki.

## interesujące

### GRUPA MARG

Warszawa, „Krzywe Koło”, Rynek Starego Miasta 2. Wernisaż 8 czerwca. Jest to wybór prac z analogicznej wystawy krakowskiej.

### LEON SŁIWIŃSKI

Warszawa, Galeria w Podcieniach, Krakowskie Przedmieście 58. Otwarcie 18 czerwca. Malarstwo figuratywne i abstrakcyjne. Głowy, dziwnie stylizowane, mają charakter nieco naiwnego surrealizmu. Uderza duży ład, a nawet pewna klasycystyczna kompozycja, poparta starannym, pedantycznym niemiłym sposobem malowania. Świat Słiwńskiego — bardzo indywidualny — łączy cechy fantazji i rzetelności.

### SZTUKA WIETNAMU

Warszawa, „Zachęta”, Plac Młachowski 3. Otwarcie 1 czerwca pod znakiem przyjaźni i zblżenia obu narodów. Sztuka współczesna posiada swój odrębny, regionalny urok (zresztą w granicach tego, co moglibyśmy nazwać realizmem socjalistycznym). Najciekawsze jest sztuka stara: dekoracje wieży drewnianej pagody But-Thap (XV—XVI w.). Wystawa trochę „poza konkurs”, bo trudno ją porównywać z naszą sztuką.

### FESTIWAL SZTUKI KRAKOWA

Kraków, Pałac Sztuki, Plac Szczepański (malarstwo) oraz Salon przy Rynku Głównym 25 (rzeźba, grafika). Wystawa duża: 146 malarzy, 49 grafików i 20 rzeźbiarzy. Prawie wszystkie tendencje od „kiczowatego naturalizmu aż po abstrakcję bezformalną”. Przeważa malarstwo bezprzedmiotowe o cechach akademickich. Większość artystów spoczywa na laurach już zdobytych pozycji, nie mając ochoty na nowe poszukiwania. Pewną niespodzianką stanowią próby syntetyzowanego koloryzmu Cz. Rzepińskiego. Ogólnie: najlepsza jest grafika, nieźle malarstwo, rzeźba — przeciętna.

## dość dobre

### JANINA MUSZANKA

Kraków, „Desa”, ul. Św. Jana 3. Czerwiec. Malarstwo, połączone z reliefem, uzyskaniem dzięki modelowaniu i marszczeniu płótna. Kolor w tonacjach pastelowych. Rodzaj abstrakcji niegeometrycznej, posiadającej wartości raczej dekoracyjne, bez głębszych treści emocjonalnych.

### LUDWIK PINDEL

Kraków, Piwnica „Pod Baranami”, Rynek Główny 21. Czerwiec. Rodzaj malutkiej retrospektywy od koloryzmu, poprzez abstrakcję geometryczną i „miękką”, po surrealizm bezprzedmiotowy i gładkie malarstwo ornamentalne. Wszystko to zaczyna się dopiero krystalizować w jedną całość.

### SZTUKA NORWESKA

Kraków, Dom Plastyków, ul. Łobzowska 3. Czerwiec. Sztuka norweska po raz pierwszy w Polsce (dzięki staraniom krakowskiego oddziału ZPAP i grupy MARG). Głównie dlatego wystawa nas interesuje. Dominuje rzetelne malarstwo przedstawiające z częstym odwołaniem się do konwencji z końca XIX w. Nieliczne prace abstrakcyjne. Atmosfera tego pokazu na pewno nie za dużo ma wspólnego z burzliwymi poszukiwaniami nowych treści w sztuce. Poziom wyrównany, opowiadanie warsztatu wszędzie bez zarzutu. Ot i wszystko.

### JAN SZANCENBACH

Warszawa, Salon „Nowej Kultury”, ul. Królewska 1/3. Otwarcie 10 czerwca. Artysta z Krakowa zaprezentował pejzaże i sceny rodzajowe z Paryża. Zresztą, kto wie, czy nie w duchu „Ecole de Paris”. Wpływy postimpresjonizmu i postkubizmu (deformacje). Niby ładne, ale po co ciągle robić malarskie reportaż?

### WSPÓŁCZESNA SZTUKA RELIGIJA

Warszawa, dolny kościół św. Krzyża, Krakowskie Przedmieście 1/3. Maj — czerwiec. Świętym pomysłem takiej wystawy: kościoły były kiedyś jedynymi publicznymi „galeriami” sztuki. Co za popularyzacja sztuki nowoczesnej, usankcjonowanej już nawet przez kościół katolicki. Sama wystawa nie za dobra. Bardzo różna i bardzo nierówna. Najlepsi: Panasowie, Słiwński i Tyszkiewiczowa.

### ANNA WANDA JEZOWSKA

Warszawa, Klub Związku Literatów Polskich, Krakowskie Przedmieście. Otwarcie 11 czerwca. Kompozycje w drzewie; kształty wyszukane w naturze, które kojarzą się artystce z konkretnymi tematami („Taniec czarownic”, „Maska”, „Wiewiórka”). Duża sugestywność w doborze form, ale efekt plastyczny cierpliwy chyba wskutek zależności od „literatury”.

### GRUPA „INOPS”

Lublin, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Aleje Racławskie 14. Otwarcie 11 czerwca. Jest to już druga w tym roku wystawa grupy „nowoczesnych” plastyków-amatorów. Tym razem biora udział: Zbigniew Strzałkowski, Józef Wtorek, Brodacz (głównie grafiki), Ryszard Kieraciński, Hala Kaczmarek, Wojciech Zeidler, Antoni Spyrka (głównie malarstwo) oraz Wojciech Krućciński (jedyna rzeźba). Znowu większość kierunków nowoczesnych pokazana jest na wystawie, ale tym razem chyba i poziom jest nieco wyższy, choć nadal bardzo nierówny. Sklasyfikowaliśmy tych chłopców nieco wyżej, niżby się należało, ale liczymy na dalszą poprawę (dużo pracują).

## przeciętne

### TKANINY PRACOWNI DOSWIADCZALNEJ ZPAP

Warszawa, Galeria ZPAP, Marszałkowska 34/36. Otwarcie 5 czerwca. Dwa typy tkanin: figuratywny, najczęściej stylizowany na ludowo, ale czasem o cechach naiwnego realizmu, oraz — abstrakcyjny z wyraźnymi podziałami geometrycznymi. Wśród tych ostatnich tkanin wyróżniają się prace Owidzkiej, reszta właśnie przeciętna.

### II OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA PŁASTYKI MARYNISTYCZNEJ

Warszawa, Galeria ZPAP, Marszałkowska 34/36. Otwarcie 20 czerwca. Wystawa znacznie lepsza, niż w ubiegłym roku. Bardziej różnorodna. Trochę koloryzmu, trochę fantastyki, trochę wątpliwej jakości półabstrakcji. Wyróżnia się fakturalny obraz Tadeusza Łapińskiego. A w ogóle po co tego rodzaju tematyczne (a nie treściowe, problemowe) wystawy?

### JÓZEF LUKOMSKI

Warszawa, Galeria ZPAP, Marszałkowska 34/36. Otwarcie 18 maja. Tkaniny figuratywne, geometryczno-kubistyczne.

### ALEKSANDER BUKOWSKI

Warszawa, Galeria ZPAP, Marszałkowska 34/36. Otwarcie 18 maja. Rysunki figuratywne z cyklu „Ghetto warszawskie”. Postacie zdeformowane w sposób ekspresjonistyczny i doprowadzone prawie do abstrakcji bezformalnej, ale droga dość banalna.

### WANDA WEDECKA

Warszawa, Kawiarnia „Sejmowa”, ul. Górnośląska 24/25/23. Otwarcie 29 kwietnia. Malarstwo przedstawiające. Trochę studiów przedmiotów, częściowo zdeformowanych, trochę naiwnej fantastyki, zdecydowany kolor. Niby własny odrębny świat, ale takie własne światy ciągle się powtarzają na wystawach.

### PŁASTYKA OLSZTYŃSKA

Warszawa, Stołeczny Dom Kultury, ul. Elekoralna 12. Otwarcie 1 czerwca. Nuda, nieliczne wysiłki w kierunku nowoczesności — nieudane.

### JERZY ZABŁOCKI

Warszawa, Salon „Ekranu”, Rynek Starego Miasta 6. Otwarcie 12 czerwca. Gwiazda figurale o cechach realizmu naiwnego. Ostatnio daje się zauważyć dużo realizmów naiwnych.

### KAROL STANISŁAW ZIELIŃSKI

Warszawa, Klub ZLP, Krakowskie Przedmieście 87/89. Otwarcie 13 maja. Rozmazane pejzaże postimpresjonistyczne.

### HENRYK KRYCH

Warszawa, Kawiarnia „Sejmowa”, ul. Górnośląska 24/25/23. Otwarcie 12 czerwca. Postimpresjonistyczne pejzaże z Bułgarii, Wyprawy, indy kolor.

### KONSTANTY ORŁOW

Warszawa, Kawiarnia „Sejmowa”, ul. Górnośląska 24/25/23. Otwarcie 24 maja. Akwarelowe, banalne pejzażyki realistyczne.

## poza konkursem

MALARSTWO UCZNIÓW RAWSKIEGO Warszawa, Dyrekcja Szkolnictwa Zawodowego, ul. Poznańska 68. Maj. Rzadki fenomen w szkolnictwie i w malarstwie. Uczniowie Zasadniczej Szkoły Metalowej w Pruszkowie po lekcjach „woła malować nie kopać piłkę”. Rawski daje im prawie całkowitą swobodę. Malują jak chcą, ale przeważnie wypowiadają się językiem abstrakcji. Robią bardzo piękne malarstwo, a równocześnie uczą się wrażliwości. Gdyby w naszych szkołach było więcej takich pedagogów-fanatyków! Jak wzrosła by kultura plastyczna społeczeństwa. Odbyla się tam bardzo ciekawa i niezwykle ważna dyskusja, zorganizowana przez Klub Krytyków.

### PRACE DZIECI

Lublin, Zamek, Lubelski Dom Kultury, otwarcie 10 maja. Wystawa zorganizowana przez Międzyszkolny Ośrodek Kultury Dzieci i Młodzieży. Dzieci prowadzone są na Zamku przez instruktora plastycznego — Ryszarda Tkaczyka. Wyniki są świetne. Jest to jedna z najładniejszych, najbardziej fantastycznych wystaw dziecięcych, jakie udało nam się zobaczyć.

### OLIMPIADA RYSUNKOWA DZIECI ZAMOJSKICH

Zamość, Muzeum, Rynek Główny, Czerwiec. Konkursem tym objęte są dzieci od lat czterech do czternastu. Im dalej w wiek, tym prace są coraz gorsze. Coraz bardziej widać rękę nauczycieli rysunków. Pomyśl organizowania takich olimpiad jest świetny. Daje możliwość konfrontacji różnych sposobów nauczania rysunku w szkołach, a zarazem jest możliwość wpłynięcia na nauczycieli. Fomyśl olimpiad jest dziełem Mariana Iwaniewicza. Zamość ma też swojego Rawskiego.

### LICEUM PŁASTYCZNE W LUBLINIE

Lublin, Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, ul. Grodzka. Otwarcie 18 czerwca. Uczniowie mają dużą swobodę, toteż wystawa zdumiewa różnorodnością rozwiązań i dużą liczbą naprawdę indywidualnych talentów. Najbardziej zachwyceni byliśmy nowoczesnymi studiami kompozycji plaskiej (u prof. Zwolakiewicza) i przestrzennej (u dyr. Baranowskiego). Dziwiło nas to, że nie ma tam bezadziejnego walkowania akademickiego martwych natur. Praca z dziełami wygląda atrakcyjnie, a jednak rzetelnie.

### „I W ZAMOŚCIU

Zamość, Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, Plac Wolności, Czerwiec. I to liceum wydało nam się dobrze, interesujące prowadzone, ale tu było już mniej swobody, niż w Lublinie. Najciekawsze wyniki — chyba u prof. Iwaniewicza; 17 bm. odbyla się tu bardzo ciekawa konferencja nauczycieli szkół plastycznych z Lublina, Nałęczyci i Zamościa. Wymieniano poglądy i doświadczenia, dyskutując zawzięcie przez cały dzień.

# Kto? Co? Gdzie? Kiedy? Dlaczego?

Pierwszy z wielkich kierunków artystycznych dający początek sztuce nowoczesnej; jego największe natężenie twórcze przypada na ostatnie trzydzieścioletnie XIX w. Impresjonizm stanowił przełom nie tylko w sposobie malowania, lecz również wyznaczał zasadniczą zmianę w patrzeniu na naturę, dopomógł do stworzenia całkowicie nowej estetyki, wywarł wpływ na inne rodzaje sztuki (muzyka, literatura).

Zasadniczy bodziec impresjonizmu mało się różnił od realizmu epok poprzednich: było nim nadal jak najwzniejsze odbicie natury. Aby się jeszcze silniej z nią związać, artyści prawie wyłącznie malowali w plenerze, na wolnym powietrzu, w pełnym słońcu. Ten bezpośredni kontakt z naturą, umiłowanie powietrza i słońca, jako źródła wszelkich zmiennych efektów świetlnych, wszystko to narzuciło artyście charakterystyczną technikę malowania. Ich paleta staje się coraz bardziej jasna, znikają z niej, tak typowe dla tradycyjnego realizmu, czernie i brązy. Na ich miejsce pojawiają się drobne plamki czystego koloru; impresjonista zamiast mieszać je na paletce (co było charakterystyczne dla powstającego w pracowniach tradycyjnego malarstwa), kładą je obok siebie bezpośrednio na płótnie. Plamki te mieszają się następnie już w oku widza patrzącego na obraz, dając mu ogólną, syntetyczną tonację. Jest to zastosowanie w malarstwie odkryć fizycznych (głównie Chevrella), które uczą, że białe światło (słoneczne), przepuszczo-

ne przez pryzmat, rozszczepia się na sześć zasadniczych barw czystych.

Powierzchnia obrazu impresjonistycznego drga tak samo jak natura, chwytana przez malarza na gorąco. Ma to swoje głębokie konsekwencje estetyczne. Artyści strają się uchwycić prawdę, ale nie tę wieczną, niezmienną, trwałą, ale tę, która zmienia się w zależności od ruchów powietrza i oświetlenia. Malarze nie starają się odzwier-

rozumowanej wiedzy. Impresjonizm nie stworzył własnego systemu filozoficznego, ani nawet własnej teorii sztuki, nie stanowił również ilustracji do żadnej teorii ani filozofii. Jednakże opowiadał się za sformułowaniem, że świat jest „kompleksem wrażeń”, przełotnych, a zarazem niepowtarzalnych. Inną, niezmiernie ważną konsekwencją bezpośredniego obcowania artystów z naturą, było wykształcenie sa-

napór realizmu jest bardziej gwałtowny niż kiedykolwiek. Tacy malarze, jak Courbet, Millet, Daubier czy Corot, jak nawiązują zwracają się do natury i do prostych tematów z życia. Rewolucja impresjonistyczna, poprzedzona prekursorską działalnością Turnera w Anglii i Jongkinda oraz Bodina we Francji, była tylko ostateczną konsekwencją tego rozwoju teatralnego.

Twórczość Maneta, operującego czystymi i jasnymi tonami kolorów, będąca progiem impresjonizmu, wywołała już oburzenie widzów. Właściwy przełom dokonał się jednakże w 1874 r., kiedy to w Paryżu, w salonie Nadara, wystawiła swe obrazy grupa malarzy, wśród których znajdowali się: Monet, Renoir, Pissarro, Sisley, Degas, Cézanne, Guillaumin i Morisot. Skandal był niebywały, a krytyk Leroy nadal wówczas wystawiającemu artyście ironiczną nazwę „impresjonistów” od obrazu Maneta pt. „Impresja, wschód słońca” („Impression, soleil levant”). Nazwę tę przyjął artyści oficjalnie w r. 1877. W latach osiemdziesiątych wpływ tego kierunku znacznie zataczał coraz szersze kręgi, także i poza Francję, ale już w tym samym czasie da się zauważyć, kielkująca w łonie samego impresjonizmu, reakcja przeciw niemu. Twórczość neimpresjonistów, Van Gogha i Gauguina, przede wszystkim Cézanne’a, będzie próbą nowego „skonstruowania” świata, który wydawał im się zanadto rozbitny i rozdrożony.

## IMPRESJONIZM

JERZY LUDWIŃSKI

ciadła tego, co wiedzą o świecie, lecz to, co w danej chwili mogą dostrzec. Przedmioty i zjawiska nie istnieją dla nich same w sobie, są bez definicji; jest ich tyle, ile różnych oświetleń i faz ruchu. Rzeczy tracą swoją materialną konsystencję, w rozdrożeniu barwnym rozplywają się ich kształty i kontury. Kolor powierzchni przedmiotów, o którym wiemy, że jest zawsze jednakowy (tzw. kolorystyka lokalna), zostaje zastąpiony, w zależności od refleksów świetlnych, transpozycją barw czystych (tzw. kolorystyka zjawiskowa). Artystów bardziej interesuje zjawiskowy, zmysłowy, naskórkowy aspekt rzeczywistości, niż budowa i szkielet konstrukcyjny przedmiotów, niż cała ich niezmienna istota, oparta na wy-

modzielnego patrzenia na świat. Malarstwo od impresjonizmu stało się niewspólnie bardziej sprawą osobistą i subiektywną, przyniosło wraz z różnorodnością świeżych spojrzeń na naturę (nie opartych na sztywnych przykazaniach kompozycji akademickiej) — nowy kult wielkich indywidualności artystycznych.

Impresjonizm nie zaczął się od razu. Już w pierwszej połowie wieku XIX rozpoczyna się w sztuce francuskiej reakcja przeciwko klasycznemu akademizmowi, przeciwko jamo wiecznym kategoriom piękna, zamkniętego w zimnych, mitologicznych tematach, modelowanych według sztywnych wzorów antycznych. Około połowy wieku



# Pierwsze kroki

IRENA SZCZEPOWSKA

Zaczął się trzy lata temu. Oddano do użytku Miejskiemu Domowi Kultury lewe skrzydło Zamku. Miastu przybyła nowa placówka wychowania estetycznego, artystycznego i oświatowego.

Dom Kultury jest po to — mówiliśmy sobie, by tu mógł przyjść każdy, kto chce po pracy lub po lekcjach znaleźć ujście dla swych pasji w zespole artystycznym czy kole zainteresowań. Nauka, wypoczynek i rozrywka miały stać treścią pracy w MDK. Powstawały więc nowe zespoły, przychodzili zespoły bezdomne, powstał Międzyszkolny Ośrodek Kultury Dzieci i Młodzieży. Zamek zdobywa młodzież, potem dzieci. Znaleźli tu schronienie młodzi plastycy (późniejsza grupa „Zamek”). Wystartowało ognisko baletowe.

Działo się to wszystko równocześnie z „usuwaniami usterek” budowlanych. Tu się nagle wyrzyszał parkiet, tam obrywał tynk, to znów ciekło nie wiadomo czemu z sufitu i okien.

Potknęliśmy się boleśnie w pierwszym roku o dwie sprawy. Pierwsza było pytanie: co na Zamku wolno, a czego nie wolno? Zawrzała trudna dyskusja. Zamek — miejsce martyrologii — okazał się niewłaściwy na dom kultury.

Drugą przeszkodą nie do pokonania stał się brak sali widowiskowej. Jednocześnie skończyły się plany obsadzenia miasta, a zaczęło się (o paradoksie!) zaspokajanie potrzeb całego województwa. W drugim roku istnienia Miejski Dom Kultury przekształcił się w wojewódzki. Przybyła rosnąca jak na drożdżach Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa. Drożdżami tymi są potrzeby wsi.

W trzecim roku odbudowano upowszechnienie wiedzy i rozpoczęto pracę filialną. I oto przygotowując się do obchodu XV-lecia PRL Lubelski Dom Kultury — dziecko X-lecia wyrosło na Zamku, nie mieści się już w swoim lewym skrzydle.

W ciągu trzech lat młodzi instruktorzy nabyli wielu doświadczeń. Zespoły powstałe na Zamku poobraściły w tradycje. Chłopcy wracają do zespołów po odbyciu służby wojskowej. Kilkanaście małżeństw „zamekowych” przysła niedługo nowych kandydatów do dziecięcego ogniska baletowego.

Na miejsce „7 Czarlich Łap” rosną dwa nowe, młode zespoły instrumentalne. Oczywiście jest i wiele przedsięwzięć nieudanych w tym trzyletnim bilansie, są niewypały — drogo zapłacone gorzkie lekcje — ale czy warto je teraz wspominać?

Dopóty, dopóki LDK jest na Zamku, perspektywy rozwoju rysują się przede wszystkim przed działem upowszechnienia wiedzy i Wojewódzką Poradnią. Najpilniejszą potrzebą na przyszłość staje się więc sprawa odpowiedniego pomieszczenia. Po okresie trzyletniego doświadczenia okazuje się dziś, że umieszczenie Domu Kultury na Zamku było pomyłką. Optymiści twierdzą, że na jubileusz drugiego dziesięciolecia Lublin uzyska dla Domu Kultury nowy lokal.

Wystawa sztuki dziecka  
Ryby — Andrzej (klasa V)



# Goście i domownicy

Podwoje Lubelskiego Domu Kultury stały i stoją zawsze otworem dla gości i bezdomnych. Wielu już z tej gościnności skorzystało i korzysta. Oczywiście przy okazji dzielenia wspólnego dachu dochodzi często do bardzo serdecznej zażyłości. Przykładem tego może być Międzyszkolny Ośrodek Kultury Dzieci i Młodzieży. Najciekawiej rozwija się tu sekcja malarstwa dziecięcego. Jej twórcą prof. Baranowski, wprowadził swoisty klimat do pracowni plastycznej pozwalając dziecku na maksymalny rozwój wyobraźni. Spadkobiercą profesora jest instruktor L.D.K. Ryszard Tkaczyk. Teatr Lalek „Pchełka” i koło zabawkarskie Ośrodka

razem z kołami literackimi, fotoamatorów, filatelistów, szachistów i majsterkowania skupiają 300-osobową grupę dzieci o skryształowanych zainteresowaniach.

Poza Ośrodkiem z gościnności Domu Kultury korzystają: Związek Teatrów i Chórów Ludowych, Polski Związek Krótkofalowców, Polski Związek Filatelistów, Związek Esperantystów, Liga Ochrony Przyrody, Lubelski Klub Filmowo-Dyskusyjny z sekcją warsztatową, Ognisko Muzyczne oraz bezdomne po zawaleniu się kamienicy na Starym Mieście Przedszkole ZBSP. W efekcie goście czasem licznie górują nad domownikami i doszło do tego, że w L.D.K. z jednego pokoju muszą korzystać nieraz trzy użytkownicy.

M. M.

To Zespół Pieśni i Tańca „Lubelskie”. Posiada największe tradycje wśród zespołów na Zamku.

Bezdomne dziecko Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, znalazł schronienie w Domu Kultury w 1957 r. Wtedy posiadał już na swym koncie poważne osiągnięcia artystyczne, czego wyrazem było II miejsce uzyskane na eliminacjach centralnych w 1955 r. we Wrocławiu.

Jak sama nazwa wskazuje, zespół ten pracuje głównie nad repertuarem regionu lubelskiego. Z tego repertuaru można by wspomnieć chociażby „Lubelską suitę weselną”, która cieszyła się największym uznaniem publiczności. Kierownikiem artystycznym i dyrektorem zespołu jest Zbigniew Kozłowski, choreografem Józef Dzik. Co znaczą symboliczne litery, pod którymi zespół został zaprezentowany? — Są to: „mitość i konsekwencja: małżeństwo. W zespole tym zawarto już 14 małżeństw. Liczba ta z roku na rok się powiększa.

Potomkowie małżeństw Zespołu Pieśni i Tańca po opuszczeniu wózków i kolebek wybierają się do Ogniska Baletowego i za kilkanaście lat z powodzeniem zastąpią swoich rodziców.

XV-lecie „Lubelskie” wita ludowym widowiskiem obyczajowym, w skład którego wchodzi: Prądky, Zapusty, Sianokosy, Po żniwach.

L. Z. J.

Z dniem 1.X.1958 r. został powołany do życia w Puławach Lalkowy Zespół Instruktażowy Lubelskiego Domu Kultury. Celem zespołu jest: 1) propagowanie amatorskiego ruchu lalkowego na Lubelszczyźnie, 2) pomoc instruktażowa dla zespołów, które takiej pomocy potrzebują, 3) poszukiwanie form, które są dostępne dla teatrów amatorskich a odchodzą od naiwnej i banal-

(Dokończenie na str. 16)

# O KULTURĘ NA SZCZEBLU WSI

STANISŁAW WEREMCZUK

Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa — bo tak brzmi jej pełna nazwa — urodziła się 1 lutego ub. roku. Za sobą miała akty prawne, przed sobą przeszło 500 zespołów artystycznych województwa, którym musiała nieść pomoc. I tak zaczęła się podróż w nieznaną. Nie było żadnego modelu na którym można by oprzeć nie tyle już samą pracę, ale nawet koncepcje placówki. Inne województwa borykały się z tymi samymi trudnościami lub miały niewielkie doświadczenia. Trzeba więc było oprzeć się na trzech faktach nie budzących wątpliwości — ogromnym zapotrzebowaniu „terenu”, na czteroosobowej obsadzie Poradni oraz 530 tys. dotacji Wydziału Kultury PWRN — i mierzyć siły na zamiary.

Po długiej i żarliwej dyskusji, wyjazdach w teren, podpatrywaniu pracy zespołów zaczęła się wyłaniać struktura organizacyjna, u której podstaw leżały przemyślane już kierunki działania. Tak założono dział dokształcania i doskonalenia, dział poradnictwa, dział badań dokumentacji i wydawnictw oraz bibliotekę. Powołana została 30-osobowa Rada Konsultantów Wojewódzkiej, złożona ze specjalistów dyscyplin artystycznych, teatru, teatru lalkowego, tańca oraz muzyki. Ruszyła szatnia — wypożyczalnia kostiumów i rekwizytów, komisja — repertuarowa i kosmetyków teatralnych. Wyjechali pierwsi konsultanci do zespołów, powstały pierwsze seminaria, wydawnictwa itp.

Po kilku miesiącach praca rozrosła się niepomiernie. Poradnię czekał jednak jeszcze trudny egzamin — pierwsze kursy wakacyjne. Z tej próby wyszła zwycięsko. Ambitnie, pewnego rodzaju nowatorskie, założenia kursu (utarała się nawet w prasie i radiu nazwa „eksperyment puławski”) dały wyraźne owoce. Sam pokaz pracy kursu i realizacja widowiskowa „Snu nocy letniej” Szekspira — późnym wieczorem w parku puławskim, gdzie przyroda wspaniale współgrała z aktorem przy obecności przeszło 2 tysięcy widzów — był na pewno wydarzeniem, które się liczy w historii ruchu amatorskiego.

Mniej udany był 10-dniowy kurs tańeczny.

Mniej udany był 10-dniowy kurs tańeczny.

Nie sposób uwzględnić w tych uwagach wszystkich poczynań, zwycięstw i niepowodzeń Poradni. Zresztą nie o to chyba chodzi. Ruch amatorski przeżywa swój wielki renesans, szczególnie we wsiach i miasteczkach. To już nie zabawa w sztukę z przymrużeniem oka, ale pochod przeszło 10-tysięcznej armii w województwie, wśród której wyrastają coraz częściej działacze z prawdziwego zdarzenia, ludzie świadomi swej roli. Wyrastają z tego ruchu ważkie fakty natury społecznej (sieć przeszło 200 domów ludowych budowanych czynnem społecznym, wielka ilość poczynań natury gospodarczej i oświatowej). Rozwijają się pierwsze kwiaty samodzielnej zbiorowej twórczości (wesela, muzea), odkrywanie i rozpowszechnianie kultury regionu. Ruch ten angażuje się coraz bardziej ideowo i nie jest chyba obojętne, w jakim kierunku w tej dziedzinie pójdzie.

Ale jest również morze łatwizny i efekciarstwa, najczęściej są to rzeczy robione nawet w dobrej wierze i na tym tle trzeba wiedzieć Poradnię. Jej zadania to nie tylko pomoc i usługi, ale dokładne rozeznanie tak stanu, jak i potrzeb i kierunku rozwoju ruchu amatorskiego, to wpływ na ten kierunek przez dokształcanie kadr, pracujących społecznie i zawodowo.

Rosną kartoteki, ankiety, indeksy, katalogi nazwisk i miejscowości, sprawozdania, lustracje — w setki a nawet już tysiące. Każdego miesiąca wychodzą do zespołów i działaczy setki listów. Zapelniają się półki archiwów.

Przez półtora roku pracy Poradni przyszło do niej około 1000 interesantów, za którymi kryje się przecież obliczona szacunkowo 10-tysięczna armia zespołów (nie oznacza to, że dotarliśmy do wszystkich zespołów, wiele z nich współpracuje z nami stale i przez to w adnotacjach powtarza się)

Tegoroczne trzy kursy w Jabloniu i Lublinie zgromadzą 160 osób, wśród których coraz poważniejszy procent stanowią ludzie z wyższym wykształceniem. Kurs oświaty w październiku zgromadzi 50 osób. Później przez okres całego roku będą się odbywały systematyczne seminaria i tematyczne konferencje.

Mylny byłby jednak sąd, że drogi zostały utarte. Obsada instruktorska Poradni została podwojona, ale proble-

„Skrzypcowa ballada”

F. przedstawienie Lalkowego zespołu instruktorskiego





niewiele da się zmienić, za to rosną nowe dzielnice.

Stary Chełm to rzeczywiście urbanistyczne partactwo, w którym niezgrabne swojskie kamieniczki wymieszane z parterową architekturą carskiej Rosji. Większości drewnianych domów nie warto ratować, bo ledwie trzymają się kupy. Natomiast nowe ramy okienne i drzwi w domach murowanych świadczą, że władze miejskie prowadzą tu remonty.

Obok starego Chełma rozłożyła się druga dzielnica stu kamienic o ulicach bez kocich, łbów, gdzie budowle kryją czerwone, wysokie dachy. Stoi tam ogromny, jak na trzydziestotysięczne miasto, gmach, w którym włączono tyle urzędów i instytucji, ile się dało. Tutaj miała gospodarować dyrekcja kolejowa lecz wyprzedził ją okupant. W tym to nowym Chełmie witano przed piętnastu laty Armię Radziecką i Wojsko Polskie. Na pamiątkę plac przed największym gmachem nazwano Placem PKWN.

— My mamy ulice a kolejarze mają kamienice, osiedle do dzisiejszego dnia stanowi własność kolei. Rocznie płacimy milion złotych czynszu dzierżawnego. Wnętrza domów właściciele remontują, ale klatki schodowe i elewacje od dwudziestu lat są nie tknięte. Za dziesięć lat budynki zarzysują się na dobre. My zajmujemy się tylko ulicami. Ten dualizm administracyjny niekiedy doprowadza do zabawnego podziału ról. Prawo przydziału mieszkań mają kolejarze, ale obowiązek eksmitowania spoczywa na nas. Najlepszym rozwiązaniem sprawy byłoby przejęcie osiedla przez miasto i do tego kiedyś dojść musi — udowadnia przewodniczący Prezydium MRN.

Na razie dzielnica należy jednak do kolejarzy, od trzech lat zaczynają ją okrażać coraz liczniejsze budynki nowych osiedli — miejskiego i fabrycznego. Dwudziestoizbowe kamieniczki, dwurodzinne domki i duże bloki stoją na razie w rozrypcie, lecz za kilka lat powiąże je zielen i ten najnowszy trzeci Chełm spinać będzie z resztą miasta Górka na jednym końcu, a Plac PKWN na drugim.

Tegorocznej wiosny puszczono na trasy miejskie pierwsze autobusy, gdyż promień architektonicznej całości w obecnym stanie przekracza dziesięć kilometrów. Miejskie władze wykorzystują jeden wóz na salę posiedzeń kursującą po Chełmie. Gdy autobus znalazł się na budowie osiedli, jeden z radnych wydał okrzyk zdziwienia: Jak to, przecież tutaj było pole! Potem przyznał się, że był w tym miejscu ostatni raz przed kilkoma laty. Takich jak on jest w Chełmie mnóstwo. Od dwóch miesięcy w niedziele i święta całe rodziny robią autobusowe wyprawy dla zwiedzenia własnego miasta, chełmianie bowiem odkryli, że go właściwie nie znają dobrze. Końcówką stacji tych wycieczek stanowi Borek czyli podmiejski las, który zaczął spełniać rolę warszawskich Białan. W soboty i niedziele trudno w nim doliczyć się czego tu więcej — drzew czy wycieczkowiczów. Wycieczki do Borku są zbawienne dla chełmian, chociażby dlatego, że w mieście powietrze nie najlepsze, kanalizacja miasta jest ciągle sprawą do załatwienia. Silnie przepuszczalne podłoże kredowe mocno ją komplikuje, a koszty z tym związane oblicza się na sto milionów. — Łatwo jest pierwszemu lepszemu stwierdzać, że Chełm nie można zaliczyć do najczystszych miast. Przed wojną u nas ludzi do sprzątania ulic można było znaleźć ile kto chciał. Dziś dostają po tysiąc złotych miesięcznie, na dodatek ubranie, mimo to trzeba prosić dziazków, żeby przyszedli do pracy. Chełm miał być czysty przed wojną? Bzdura. Rok 1959 zostanie datą historyczną dla miasta, bo w tym roku dostaliśmy polewaczkę. Teraz mamy nowy problem — gdzie szukać wozu asenizacyjnego — wygarnia swoje klopoty przewodniczący Polak.

Ludzie marzą o różnych rzeczach. Jedni o niebieskich migdałach, drudzy o wygranej na loterii. Przewodniczący Polak marzy o samochodzie ze szczołkami do automatycznego zamiatania ulic. Prawdopodobnie łatwiej jest wygrać pierwszy los na loterii, niż dostać taką maszynę. Za to szczęśliwiej powiodło się z założeniem światła jarzeniowego. Wzdłuż dwóch centralnych ulic sterczą już charakterystycznie zagłębione słupy. Brak tylko dwóch i pół kilometra kabla, ale to kłopot stosunkowo nie wielki, chociaż trzeba szukać takiego kabla po całym kraju.

Do 1957 r. Chełm rzeczywiście węgował. Potem ruszyło na dobre budownictwo. Spółdzielnia mieszkaniowa w jednym miesiącu rozpoczęła budowę bloków dla 78 rodzin, w drugim rozpoczęła dla 148. Miejska Rada Naro-

# M I A S T O dwóch wzgórz

dowa stawia przy osiedlu kolejarskim całą kolonię. Jest to po latach martwo-ty bardzo wiele, lecz ciągle za mało jak na potrzeby. W Miejskiej Radzie leży 1.300 podań o mieszkania, z których można załatwić tylko 120.

Przedwojenny Chełm miał 35 tysięcy mieszkańców. Po wyzwoleniu było 20 tysięcy. W 1950 roku o jeden tysiąc mniej. Teraz jest 30 tysięcy. Okupant zgładził tutaj nie tylko ludność żydowską. Orientując się w silnych wpływach KPP i Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, ze specjalną zaciętością tepił inteligencję. W Muzeum Chełmskim pełno dowodów na to. Widziałam obwieszczenia, na których wyroki egzekucyjne uzasadniano „torowaniem drogi komunizmowi”. Kogo podejrzewano o łączność z komunistami — musiał zginąć. W gminie Rakolupy potrafił dobrze ukrywać się gospodarz, na którego czyhało gestapo. Widząc, że go nie złapią, hitlerowcy zabrali dwóch synów i rozstrzelali ich w Chełmie. Na targowicy zginął w ten sposób nauczyciel Gajewski z synem. Większe grupy komunistów wywożono do Kumowej Doliny na stracenie.

Górze leżą niewyczerpane pokłady nie mniej doskonałej kredy, którą dowozi się do rejonów cementowni pociągami. Taka sama droga kredy do marglu jak i marglu do kredy, dlatego więc wagony do Chełma mają wracać puste? A wiec ruch wahadłowy pociągów i ciągła produkcja w dwóch kombinatach. Inżynier Staniszewski po zakończeniu budowy w Rejowcu znalazł się w departamencie inwestycji Ministerstwa Budownictwa i wykorzystał to jako okazję do sporządzenia z zespołem inżynierów dokumentacji dla cementowni dwukrotnie większej od Rejowca I i II razem, — cementowni, wobec której małe Wierzbica a Odra ma przestarzałe urządzenia.

W 1956 pierwsze koparki zaczęły ryc teren tuż przy Kredowej Górze. Pochłonięci własnymi sprawami chełmianie nie przecuwaliby jeszcze, że w dziejach ich miasta rozpoczyna się drugi po ogłoszeniu Manifestu Lipcowego przełom, tym razem nie historyczny, ale ekonomiczny.

Od pierwszego mojego spotkania z inż. Staniszewskim na budowie w Rejowcu upływa ósmy rok. Z tamtych

Nadchodzi inż. Chominiuk, ten, który budował w Rejowcu fundamenty pod piece, co też przeprowadził tutaj i postawił halę kompresorów.

— W Rejowcu kiedyś prowadziłem roboty i sam pracowałem z robotnikami, tutaj tylko rządzą. Tam był początek, inaczej — szkoła dla budowniczych i technologów przemysłu cementowego. Tu jest normalna, dobrze przygotowana i zorganizowana budowa — oceniają różnicę w sytuacji Rejowca i obecnej w Chełmie inżynierowie.

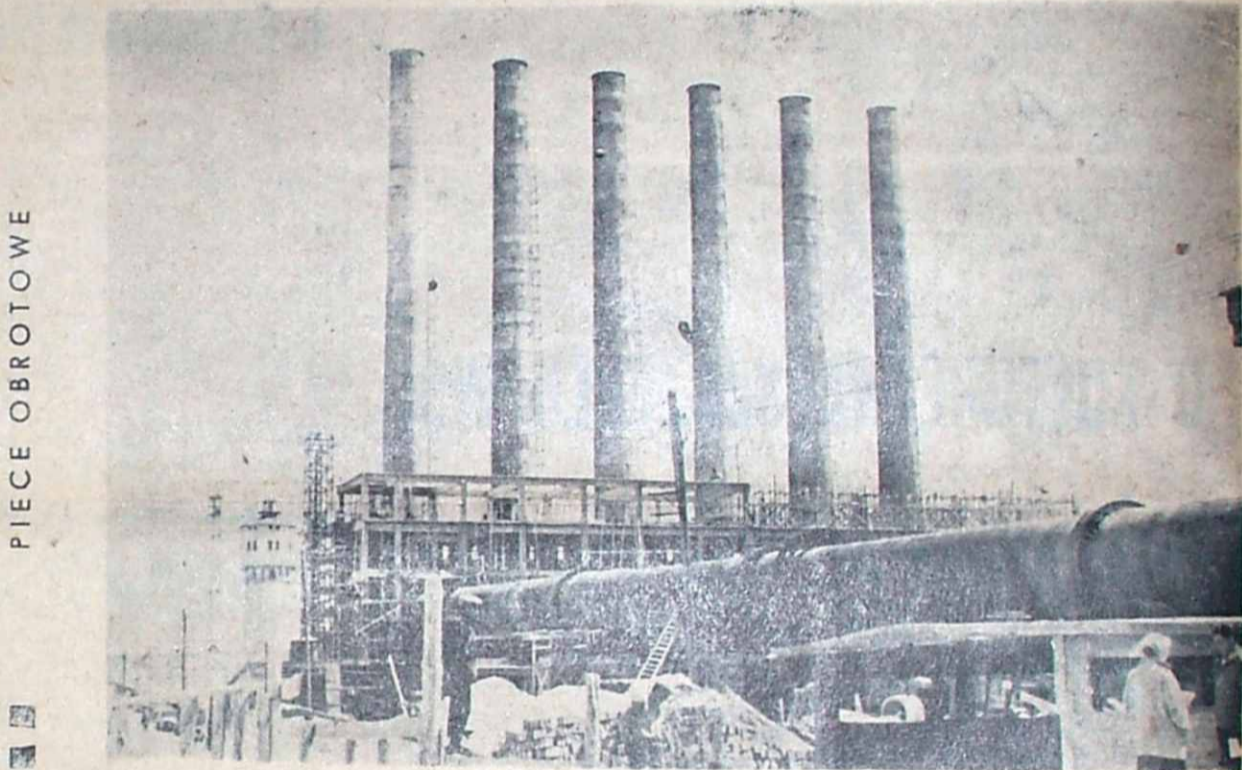
Wiecej niż połowa załogi pracowała na niespokojnym zaskakującym niespodziankami placu w Rejowcu. Tam braki i opóźnienia trzeba było łączyć wyczynami brygad lub całej załogi. Zaczynam powoli pojmować, w czym tkwi przyczyna metamorfozy.

Inż. Staniszewski, dyrektor cementowni w budowie, nie uznaje podczas pracy głośnień. Jego zdaniem, walczyk i rock and roll są dobre po godzinie trzeciej. Halas jest wrogiem skupienia umysłowego, najlepszy klimat dla pracy stanowi cisza — taka jest recepta inżyniera-architekta. To uwzględnianie bodźców psychicznych w budownictwie jest nowością.

— Budowa idzie gładko, ale bez wielkiego szumu. Nie wyczynowo, ale z obowiązku. Patrzy się tu na pracę pod kątem oszczędności i dobrej organizacji.

Rezultaty takiego pojmowania sprawy już są. W Chełmie zastosowano eksperyment, w którym inwestor (czytaj — inż. Staniszewski) przejął obo-

PIECE OBRÓTOWE



Chełm przeżywał okres martwoty w latach wznoszenia wielkich budowli przemysłu kluczowego. Wtedy robili karierę sąsiedni Rejowiec. Lepszą koniunkturę przyniosły z sobą trzy ostatnie lata; wraz z nią pojawiły się projekty inwestycji komunalnych na dużą skalę. W opracowaniu jest dokumentacja szkół — pomnika Tysiąclecia, domu kultury i kina panoramicznego, na które władze miejskie mają w tej chwili dwa miliony. Roboty przy kinie byłyby już dawno rozpoczęte, gdyby nie spór z „miarodajnymi czynnikami” o to, czy ma być w nim 400 czy też 600 miejsc.

Słowem można stwierdzić w Chełmie nie notowane nigdy przedtem tempo inwestycji. I dobrze się dzieje, gdyż mieszkańcy tego miasta mają wyjątkowe sukcesy przy uzupełnianiu strat w załudnieniu. Notują tu największy przyrost ludności w województwie, a rezultat: 6-7 osób w izbie o powierzchni 18 metrów kwadratowych.

Licząc się z takim tempem przyrostu, wybudowano stadion na 20 tysięcy miejsc, na którym przez dwa lata pracowali w czynnie społecznym wszyscy obywatele zdolni do operowania łopatką. Szkoła — pomnik, kino, dom kultury i stadion — są to inwestycje na skalę dotychczas w stolicy PKWN nie stosowaną, nie są jednak największą jej szansą.

Szansa ta przysła skądinąd. Przywiózł ją z sobą do Chełma inżynier Jerzy Staniszewski, główny inwestor na budowie cementowni „Rejowiec I” i „Rejowiec II” w planie sześciolatnim, niewątpliwie jeden z czołowych pionierów rozbudowy polskiego przemysłu cementowego. Pomysł jego, jak wiele pomysłów wielkiej miary, był bardzo prosty. W Rejowcu są pokłady doskonałego marglu, w Chełmie na Kredowej

czasów pozostało mi w pamięci wielkie rojowisko ludzkie na porządku placu o powierzchni 60 hektarów, gdzie co chwila trzeba było wymijać rowy, fundamenty, samochody, furmanki, góry materiałów. Człowiek przemyczał się tamte w gumowych butach, bacząc, by ich nie zostawić w glinie, oszołomiony hukami, stukami i masową krzątaniną, którą dyrygował z wysokości drewnianej wieży główny dyspozytor.

Kolos chełmski w trzecim roku budowy sprawia wrażenie sporego fragmentu Kędzierzyna czyli miasta fabryk. Budowa zajmuje 120 ha, a przecież kiedyś 100 ha przeznaczonych pod lubelską Fabrykę Samochodów Ciężarowych wprawiało nas w oszołomienie. Największym zaskoczeniem dla zwiedzającego jest tutaj dostojna cisza, podobna do tej, jaką musi witać turystę rzymskie Colosseum. Żelbetowe słupy w hali suwnicowej o długości prawie półkilometrowej, swoją twardą surowością wywołują w tej ciszy pod otwartym niebem wrażenie gigantycznych ruin jakiejś świątyni, z której czas zdął korę tynków. Kilkaset metrów dalej stalowy żuraw zatacza bezgłośnie koło na wysokości lotu jaskółek nad kolosalnymi kładziami z cementu i żelaza. Tam ludzie ciągną silosy o pojemności 8 tysięcy metrów sześciennych. Z daleka poza ruchem żurawia jednak nie nie zdradza ich obecności. Nie chce się człowiekowi po prostu wierzyć, że na budowie pracuje 1.600 ludzi. Czyjaś ręka zgromadziła na ogromnym placu starannie ułomki desek i drzazgi w kopecyk. Obok złożono w podobny sposób worki po cemente. Człowiek przyzwyczajony do zaśmieconych placów budowlanych zaczyna mimo woli szukać porzuconego żelastwa, narzędzi, chociażby papierka. Daremny trud. Budowie cementowni Chełm I należałoby przyznać krajowy rekord czystości placu robót.

wiązki głównego koordynatora robót. W następstwie tego uzyskano 20 milionów oszczędności.

— Rejowiec, to było „pospolite ruszenie” budowlanych — autorem tego określenia jest inż. Staniszewski.

„Pospolite ruszenie” po nabyciu doświadczeń w Rejowcu przeistoczyło się w wyszkoloną armię budowniczych przemysłu cementowego, zdolną do karnego podporządkowania się stylowi pracy dyrektora. Ten styl równego, spokojnego i planowego działania bez wstrząsów i zrywów jest wielkim skokiem od improwizacji do normalnej pracy na budowie, a zarazem wielkim zwycięstwem w organizacji robót. W Rejowcu było wielu rekordzistów, przodowników i wyczynowców, w Chełmie jest załoga, na której można polegać.

Innymi słowy — dyrektor Staniszewski, z zespołem 17 dyplomowanych inżynierów i 20 techników, przy pomocy wykonawczego sztabu 40 ludzi z takim samym wykształceniem, doprowadził od organizacyjnego bałaganu do systematycznej pracy na budowie w oparciu o solidne, wszechstronne przygotowanie robót. Potrzebne do tego były nie tylko fachowe umiejętności, ale i gospodarskie oko, zdolne spenetrować każdy zakątek na 120 hektarach i na dodatek odrobina zacięcia pedagogicznego.

Życie robotnika na tej budowie daleko odbiegało od warunków w Rejowcu. Zastaje on na miejscu bloki hotelowe z punktami usługowymi, jak zakład fryzjerski, gabinet dentystyczny itp. Ma do dyspozycji dwie stołówki. Część pracowników już otrzymała mieszkania w osiedlu fabrycznym. Są więc możliwości urządzenia się nawet z rodziną i warunków luksusowe w zestawieniu z dawną sytuacją w Rejowcu.



Tam były baraki i błoto, tu jada się w stołówce jak w restauracji.

Dochodzimy do zagadnienia koegzystencji załogi z miastem. Budowa jest beniaminkiem Chelma, o którego miasto dba jak matka o najmłodsze dziecko. — Oni są tak honorowi, że przy zaopatrzeniu w żywność, wołą sami od siebie ująć, byle tylko na budowie nie było braków — twierdzą robotnicy.

Koegzystencja budowniczych z miejscowym społeczeństwem nabiera stopniowo wzajemnej asymilacji. Trzy czwarte robotników na budowie stanowią ludzie z okolicy, kilku robotników, techników i inżynierów piastuje już godność radnych w gromadach, powiecie, a zastępca dyrektora Stanisławskiego, inż. Antoni Zydek jest radnym MRN.

Inż. Stanisławski marzy podobnie jak przewodniczący Polak. Wypisuje on przy tym na papierze dużo cyfr, które są wykładnikami jego marzeń.

Przemysł cementowy, to dla państwa bardzo opłacalna rzecz — Rejowiec I i II już prawie zamortyzował się wartością swojej produkcji. Dał też materiał na budowę Chelma, w którym próbnym rozruch pierwszego pieca nastąpił we wrześniu. 1 maja 1960 roku kombinat ruszy całą parą i w pierwszym roku da 75 procent późniejszych planów. W tym miejscu kończą się realne obliczenia i zaczynają marzenia o bliższej przyszłości.

Gdy stanie Rejowiec IV i Chelm II, cement wychodzący z kooperujących kombinatów wyniesie 40 procent produkcji krajowej. W ogólnej kalkulacji stanowić to będzie 400 milionów zł rocznie. Połowę trzeba odliczyć na materiał i robociznę — pozostanie 200 milionów czystego zysku. Po pięciu latach kombinat zwróci koszty budowy. Załoga będzie wtedy liczyć 6 tysięcy ludzi. Licząc po trzy osoby na rodzinę, dostaniemy 18 tysięcy zatrudnienia robotniczego. Jest to więcej niż połowa mieszkańców Chelma, czyli charakter miasta z urzędniczo-rzemieślniczego zmieni się na robotniczy — taka jest pointa marzeń inżyniera.

Lecz najbardziej zaskakujący moment nastąpi dopiero na samym końcu. Inż. Stanisławski sięgnął na półkę po dziwny przedmiot. Położył na biurku skamielinę, której wydobycie wymagało bardzo delikatnego obchodzenia się. Sądząc po kształcie, mogła być kiedyś żyłką albo... fajką.

Zapewne odwiedzi pani profesora Janczykowskiego, najpopularniejszą postać w Chelmie. Prosiłbym o przekazanie mu tego wykopaliska.

Niecodzienna budowa, z niecodziennym dyrektorem i robotnikami, którym chciało się dłużyć w kredzie przy wydobyciu kruchości drobiazgu. Gest kurtoazji, czy niósł w torebce delikatny dowód uznania od człowieka tkwiącego myślami w przyszłości dla badacza, który żyjąc w teraźniejszości, przez całe życie tkwi w przeszłości?

Kładę zagadkową fajeczkę na stole w mieszkaniu profesora Kazimierza Janczykowskiego z miejscowego liceum im. Czarnieckiego. Pochyla się nad stolikiem postać kiedyś wyniosła, dziś lekko przygarbiona.

To żełowiec, żyłtako morskie z okresu kredowego — orzeka człowiek uznany w Chelmie za jedyną autorytet w takich sprawach.

W pierwszych latach naszego stulecia człowiek dziś sędziwy był młodzieńcem uczniem założyciela biblioteki, którą chlubi się dziś Lublin — prof. Lopaćkiński. Po śmierci tego zapalonego bibliofila, edukację w gimnazjum kończył pod dyktando z rękami wielkiego polakożercy z warszawskich czasów Singalewicz. Singalewiczowi nie udało się widocznie wykorzystać z ucznia Janczykowskiego tego, co wszczepił Lopaćkiński; po ukończeniu studiów uniwersyteckich w młodym pedagogu odezwała się żyłka nie bibliofilska, ale kolekcjonerska z inklinacją do penetrowania przeszłości rodzinnego miasta i okolicy. Zbieranie eksponatów historycznych, wykopalisk archeologicznych, dokumentów, dzieł sztuki, materiałów etnograficznych itp. trwa przez 41 lat pracy w liceum czyli do dnia dzisiejszego. Rokrocznie po maturze zmieniali się uczniowie-pomocnicy, z młodego wykładowcy zrobił się człowiek dojrzały, zebrane eksponaty mnożyły się z setek w tysiące. Tak wyglądają mniej więcej dzieje powstania Muzeum Chelmskiego, które jest dziełem jednego człowieka a obejmuje ponad 6 tysięcy eksponatów, nie wliczając pełnego archiwum dokumentów z okupacji.

Z zaciętością desperata bronił profesor swoich eksponatów podczas okupacji. Najcenniejszą zdobyczą był skrzynkowy grób neolityczny sprzed 3 tysięcy lat, odkryty w 1934 roku na polach Ponikawki. Kamieni z grobu wagi 7

ton nie dało się ukryć — hitlerowcy wywieźli je do III Rzeszy. Ale ich starania o wydobycie od profesora wartości grobu spełżyły na niczym. Naczynia, czarki, krzemienne siekiery i kamień żarnowy łatwo było schować i zabezpieczyć przed zniszczeniem. Szkielet zaś pogrzebanego spoczywał w spokoju przez pięć lat okupacji... w kanapie, na której sypiał profesor.

— Musiał to być mężczyzna w sile wieku, wszystkie zęby miał zdrowe jak perły i nie było go, bo zwykłym śmiertelnikowi nie budowałoby takiego grobu — w ustach profesora brzmiało tak, jakby działo się wszystko wczoraj.

Przed kilkoma laty prof. Janczykowski prowadził na łamach prasy lubelskiej całą kampanię o życie rzadkiego okazu botanicznego na Stawskiej Górze, któremu groziła zagłada ze strony pasącego się tam bydła. Profesor robił wszystko co mógł, by kilkuhektarowy kawałek nieużytków uznać za rezerwat. Niestety, nie znalazł nigdzie zrozumienia. Jakas tam roślinna, wywodząca się z epoki trzeciorzędu, o nazwie dźwięczącej popłocholistny, o kwiatku rozmiarów astra, podobnym do słonecznika, z gwiazdzisto rozłożonymi liśćmi, co ona znać w obecnych budów przemysłu kluczowego? Roślina przywędrowała przed milionami lat z wału scytyjskiego (Wołyn) i schroniła się na Stawskiej Górze przed lodowcem, który na Ziemi Chelmskiej istniał bardzo krótko. Przed kilkoma laty zostało już tylko 30 okazów. Zrozpaczony profesor, nie widząc żadnej pomocy, udaje się do Komitetu Centralnego Partii. Tam wreszcie znalazł człowieka, który przyszedł mu z pomocą. Tow. Mariński zyskał sobie tym dozwonną wdzięczność twórcy Muzeum Chelmskiego. Za jego sprawą poszły w ruch trzy ministerstwa, zmobilizowano „odgórnie” do czynu władze wojewódzkie i w grudniu 1957 r. ukazał się dekret uznający Górę Stawską za rezerwat, który został też ogrodzony.

W czerwcu podczas sesji naukowej Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego poświęconej dziejom Ziemi Chelmskiej twórca miejscowego muzeum wdał się w ożywioną dyskusję z profesorem Myślińskim na temat kroniki halicko-wołyńskiej zwanej kroniką Hipacego. Mnich Hipacy nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do ścisłego opracowania szczegółów, zadowolili się zwykłym opisem, czego mu nie może darować chelmski autorytet w sprawach przeszłości tej ziemi. Ma przecież dowody, w postaci wykopalisk z samego Chelma, że istniało tu zorganizowane życie przed 3 tysiącami lat.

Kampania o rezerwat roślinny została zakończona zwycięstwem, wieloletnia walka o locus dla muzeum nie daje jednak rezultatu. Dział archeologiczny znajduje się w sali budynku popijarskiego, reszta siloczono w Liceum im. Czarnieckiego jak w magazynie, chociaż istnieje specjalna uchwała Miejskiej Rady Narodowej w Chelmie o przekazaniu Muzeum Chelmskiemu kilku sal zajętych przez spółdzielnię krawiecką obok działu archeologicznego. Spółdzielni nie ma gdzie przenieść, a eksmitować na ulicę nie można. Muzeum Chelmskie jest więc bogatym zbiorem bez lokalu.

Przed czterema laty miejscowy Komitet Frontu Jedności Narodu zaczął wydawać „Wiadomości Chelmskie”. Ukazało się tylko 60 numerów, później ktoś uznał pismo za niepotrzebne. W wydanych numerach znalazłam artykuły o chelmskich lutniakach, o walkach młodzieży z caratem.

Na XV-lecie PKWN powinna ukazać się przynajmniej jednodniówka — twierdzi profesor.

Nie znam kulis tej sprawy. „Wiadomości Chelmskie” mogłyby wnieść dużo nowego w dosyć leniwy nurt życia w mieście. Decyzja o likwidacji gazetki prawdopodobnie należała do posunięć biurokratycznych. Podobnie w 1951 r. jakiś bezduszny, zburokratyzowany cymbał wysłał do hut na złom maszyny z prywatnej drukarni, na której drukowano Manifest PKWN. Maszynę, dla której odpowiednim miejscem byłoby Muzeum Chelmskie, a nawet stołeczne. Został więc tylko pierwszy egzemplarz Manifestu ze śladami korekty. Przechowała go troskliwie pani Maria Solska i przyniosła w darze do Miejskiej Rady Narodowej, gdzie przewodniczący ob. Polak przechowywał go jak świętość. Tylko dzięki właścicielom ten egzemplarz nie podzielił losu okupacyjnego archiwum, które skolekcjonował zamordowany przez hitlerowców właściciel drukarni i zarazem redaktor pisma „Zwierciadło”. — Czernicki, a które zniszczono.

Twórca Muzeum Chelmskiego ma nowy kłopot. Słupy w ogrodzeniu rezerwatu są drewniane, za dwa — trzy lata zgniją, trzeba znów kolatać o pomoc.

# PARTYZANCI - ludowi herosi

ZYGMUNT MAŃKOWSKI

Motto: „Po godzinnym marszu stąd było gwiazd i cmokanie w dziurawych partyzanckich butach”.

„Dzień był bardzo mroźny, śniegu dużo, wiatr północno-zachodni niemiłosiernie zaczął w twarz, konie, przeczuwając daleką drogę, parskały, a w rytm skrzypiącego śniegu oddział zaśpiewał piosenkę:

Czerwona róża, biały kwiat, czerwona róża, biały kwiat,

Wędruj dziewczyno, dziewczyno wędruj, wędruj dziewczyno, ze mną w świat.

Gdy wyszliśmy z miasta, w oddziale, jakby na rozkaz, zapanowała cisza. W tej ciszy swobodnie można było wyczytać myśli każdego. Jakże niedole i poniewierki nas czekają? — Kaleczy, śmierć, głód, upały, chłody, zmęczenie, niewygody, lecz każdy szedł z zamiarami zemsty za krzywdy zadane przez Niemców i ich pomocników”.

Mikołaj Kunicki ps. Mucha, dowódca osławionego polsko-radzieckiego oddziału im. Stalina, autor wstrząsającego eposu o ludowej partyzancie, nie mitologizuje rzeczywistości wojennej. Nie usiłuje jej uromantyczać. Partyzanci Kunickiego nie mają nic wspólnego z idyllicznymi, przebranymi w kwiaty, „chłopcami z lasu”, w których kochają się wszystkie okolice dziewczęta. Przeciwnie, Kunicki brutalnie, wielokrotnie przyznaje, że chodzą w podartych butach lub łapciach z polskiego łyka, że są brudni i obdarci, że tracą siły i zgnęci, że trapią ich choroby i świerzby a od wszy bronią się jedynie wkładaniem nie wypranych koszul w mrowiska. Toteż kiedykolwiek spotka się na szlaku bitewnym z kadrowymi oddziałami Armii Krajowej, nie bez pogardy pisze o ich umundurowaniu, odżywieniu i wyrafinowanych formach bycia. Jego partyzanci żyją pod straszliwą obsesją walki. Ani godziny bez strzału — oto cały świat jego ugrupowania. Walczy wszędzie o każdej porze dnia i nocy, w bagnie, w lesie, podczas zawiści śnieżnej i jesiennej pury. I nie ma w tym ani słowa przesady. Przyglądając się dziejom tego oddziału, wyniosłem głębokie przekonanie, że był to jeden z najbitniejszych oddziałów w historii partyzantki II wojny światowej. W pamiętniku Kunickiego wyczuwa się również, że on sam i jego ludzie walczą nie o efemeryczne hasła polityczne, lecz o odarte ze wszystkich osłon prawo do życia na własnej ziemi. W głębi zaś swego serca partyzanci noszą przeczucie i pragnienie życia w sprawiedliwych warunkach niż te, które zastała wojna 1939 roku. I dlatego, choć Kunicki na czterystu trzydziestu ośmiu stronach ani razu nie porusza problemów politycznych i ani razu nie wymówi słowa: ojczyzna, rozumiemy jego decyzję podporządkowania się dowództwu radzieckiego sztabu Partyzantów Ukrainy. To instynkt klasowy nakazał mu unikać rozpolitykowania oddziałów „narodowych”, które na Wołyniu i Polesiu jedynie zajmowały się samoobroną ludności polskiej przed nacjonalistycznymi bandami UPA, a na Lubelszczyźnie i gdzie indziej przysto-

— Najlepsza droga do inż. Stanisławskiego. On i załoga z budowy na pewno nie odmówią. Ogrodzą rezerwat słupami z betonu i zagwarantują spokój pańskiej pupille na długi czas — taka była moja rada.

W reportażu znalazły się trzy osoby spotkane jednego dnia: trzech marzycieli, związanych z Chelmem każdy na swój sposób. Niektórzy utrzymują, że człowiek jest wówczas szczęśliwy, jeśli dokoła siebie widzi to, co nosi w sobie. Marzyciele pierwszej szedłby PKWN należały do tych szczęśliwców, którzy potrafili własnym wysiłkiem przenieść swoje wizje w rzeczywistość. Tego pokroju indywidualności los wybiera na saperów do przetrwania mostów z epoki do epoki.

Krystyna Pałys

wywały siły do rozegrania ostatniej bitwy o „nasadzenie” rządu londyńskiego.

Zdumiewającą rzeczą jest to, że Kunicki, urodzony partyzant, dla którego las stał się żywiołem, nienawidził wojny. Widzi ją w całej apokaliptycznej grozie: „Po przejściu starej granicy polsko-sowieckiej w okolicy wsi Charpuń maszerowaliśmy na wschód. Ani śladu człowieka. Wszystkie wioski i mniejsze miasteczka były spalone i zarośnięte chwastami, stada czarnych kruków krążyły i dożerały na wpol zgniłe ludzkie i bydłecze reszki. Dźwięczyło było w bród, jastrzębi masa. Szosy niczym nie różniły się od łąki. Poważone drzewa leżały w poprzek dróg. Wodę piłśmy tylko z rzeżulek, bo w każdej studni pływały śluzowate trupy. Zdziczałe psy uganiały się pośród tego zniszczenia... Noce były ciemne, ale od płonących włosów dobrze było widać drogi”. Jest to wizja przesadzona, płynąca z głębokiej nienawiści do wojny. Kunicki wyznaje również, że nienawidził „przekłętego zapachu spalonego prochu” i nie reaguje, kiedy jako dowódca krocząc po wyczerpującym boju na czele oddziału przez oblodzone bagna słyszy rozpacze głosy partyzantów: „po co mnie matka na świat wydała”, „za jakie grzechy pokutuję”, „dlaczego mnie matka nie udusiła, jak byłem małeńki”. I jemu samemu wyrwywać się niejednokrotnie dziwnie brzmiałe w jego ustach słowa. Przyznaje w pewnym miejscu, że po przejściu frontu w okolicy Równego w styczniu 1944 roku, starał się uchylić od rozkazu ponownego przejścia na tyły wroga, tym razem na teren Lubelszczyzny! A jednak poszedł i stoczył tam największe, zwycięskie boje.

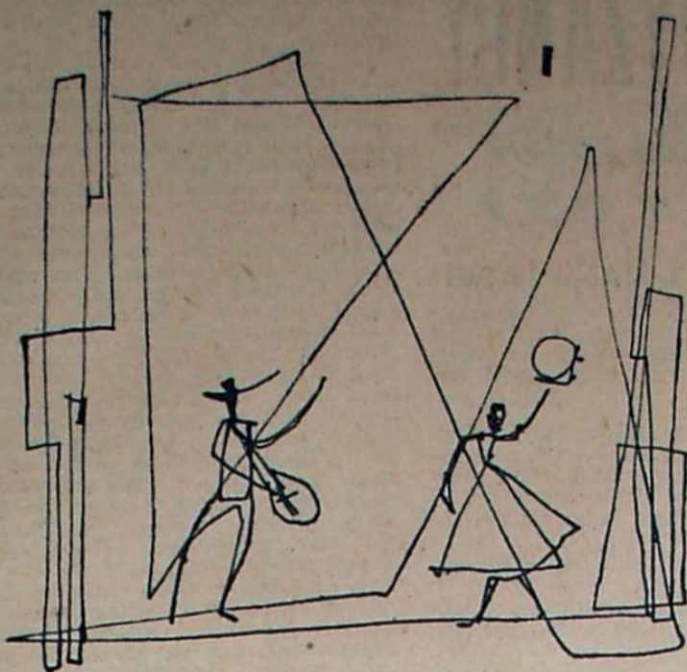
Oddział Kunickiego powstał wśród polskich bagien z Polaków byłych żołnierzy 104 batalionu Schutzpolizei w Kobryniu. Okolice w których oddział początkowo operował, nie są obce polskiej literaturze. W pewnym okresie oddział Muchy otarł się o Hruszowo — majątek Marii Rodziwiczówny. Tylko, że wizja stworzona przez tę pisarkę w „Pożarach i zgłiszczach” wydaje się teraz sielanką. Wojna stała się okrutniejsza. Wokół płoną wsie, a ludobójstwo stało się regułą dnia codziennego. Nie ma już szlacheckich „partii”, uzbrojonych w kosy i dwururki, słysząc natomiast serie nowoczesnych karabinów maszynowych i wybuchy magnetycznych min. Zmienił się też radykalnie społeczny skład oddziałów. To jest wojna dołów społecznych, odepchniętych i pogardzanych w latach drugiej niepodległości. Ludzie ci z natury rzeczy ciągną ku idei socjalizmu choć czynniki nacjonalistyczne wywierają na nich silną presję. Kunicki z dumą ustawicznie podkreśla że oddział jego składał się 18 narodowości! W pierwszym okresie swego istnienia oddział Muchy walczył na terenie, na którym nacjonalizm rozpalał do ostatecznych granic. Różne też były fronty tego oddziału: z Niemcami, z hitlerowskimi formacjami ukraińskimi, z faszystami węgierskimi, z nacjonalistycznymi bandami UPA, a co najtragiczniejsze — Kunicki z trudem unikał starć z „narodowymi” oddziałami polskimi, czyli krócej mówiąc, z AK. Ofiejalnie oddział Kunickiego nosił nazwę ugrupowania polsko-radzieckiego im. Stalina. Kunicki i jego ludzie noszą w sercach wizję przyszłej niepodległej Polski. W chwilach słabości Kunicki wywołuje w pamięci obraz płonącej Warszawy, o którą walczył w szeregach Armii Polskiej we wrześniu 1939 roku. Kiedy zaś na pewien czas przejmie pod swoje dowództwo ugrupowanie partyzanckie Roberta Satanowskiego, oddziały jego noszą imiona ks. Brzóska, Kościuszki i Traugutta.

Ugrupowanie Kunickiego przebywało w swej historii imponujący szlak bojowy na przestrzeni setek kilometrów od Dubnicka i Stolna w widłach Prypeć, przez Równe, Luck, Kamień Koszyrski, Bug, północną i południową Lubelszczyznę, Lasy Janowskie i Bilgorajskie, Rawę Ruską, Przemysł, Karpaty, północną Słowaczczyznę, Użhorod, Preszow, aby w okolicach Rzeszowa — Krosna we wrześniu 1944 roku zakończyć chwalebny działaniom bojową. Na Lubelszczyźnie oddział jego wstąpił się szczególnie obroną Porytowego Wzgórza w Lasach Bilgorajskich w czasie wielkiej czerwcowej bitwy 1944 roku.

Kunicki wybrał z długiej historii swoich bojów tylko pewne fragmenty. Skupił główną uwagę czytelnika tylko na poważniejszych epizodach. Mimo to dał prawie pełny obraz historii oddziału. Relacja jego jest wstrząsająca. Pióro Kunickiego, choć wodzone niewprawna ręką człowieka, który chętniej strzelał niż pisał, jest zaskakują-

(Dokończenie na str. 15)





# ZYGZAKI

# TEATRALNE

MARIA  
BEHCZYC - RUDNICKA

— Tylko nie „bilans”, tylko nie „podsumowanie!” — pogroziłam sobie palcem, gdy wylonila się potrzeba spojrzania na nasz teatr pod kątem 15-LECIA. Odrzucisz ze wstrętem buchalteryjne metafory, bo czyż można podsumować śpiew słowika, bilansować lot motyla? Niech się na mnie nikt nie obraża, mówię całkiem serio. Teatr — każdy — przecie jest barwnym motylem, polatującym swobodnie z kwiatka na kwiatek... dopóki nie wdadzą się w sprawę właśnie buchalterzy (w sensie dosłownym i przenośnym). Wtedy, o, wtedy motyl zaczyna siadać na szpetnych chwastach — i koniec tęczęwemu szaleństwu! Nigdy jeszcze buchalteriomania nie wyszła sztuce na dobre.

W wysokiej stratosferze, skąd teatr jest zdalnie sterowany, panuje obsesja „linii repertuarowej”. A jak się mówi „linia”, to ma być linia wyraźna, nakreślona w proroczym natchnieniu, biegnąca bez wahnięć od września do września, utrwalona i — u! — zrealizowana. Toż, moi złoci, taka linia repertuarowa jest pojęciem zgola metafizycznym, jakąś zagubioną we wszechświecie ideą platońską, nie mającą odpowiednika na ziemi. Pokażcież mi teatr, który w natchnieniu radosnej twórczości nie polatuje zygzakami! Rzecz naturalna: reżyser pragnie „oblicza” — ho, ho — awangardowego, a buchalter — ten strictly sensu — pragmatycznej kasy, dyrektor wystawia, powiedzmy — „Iwonę”, a publiczność — ta strictly sensu — omija teatr z daleka. Tedy i dyrekcja zaczyna chodzić w zakasy i już przepada koncepcja „linii repertuarowej”. Tak było, odkaś świat światem, a dziś tym bardziej tak bywa. Bo dawnymi czasy antreprenier mógł zbankrutować, gdy mu się zamarzyło, — po prostu dawał drapak z ostatnią kasą, zostawiając trupę na lodzie, dzisiejszy teatr natomiast pod państwowym mecenatem bankrutować nie śmie, najwyżej dyrektor wyleci z posady, z dyrektorskiej puli i będzie „ponosił konsekwencje”. A któż, drodzy państwo, lubi owe „konsekwencje” ponosić?

Wygarnęłam to, co powyżej, ku chwale naszego piętnastolatka mianującego się obecnie Teatrem im. Osterwy. Owszem, ku chwale. Boć jeśli mimo presji buchalterów, zdołał on pokazać całą masę sztuk porządnych i wręcz świetnych, znaczy to bez wątpienia, iż dobrze się założył społeczeństwu lubelskiemu. Na dowód podam zamiast liczb trochę tytułów (nie wszystkie oczywiście sto dwadzieścia — gdzieś był).

A więc —

Z okresu dyrekcji Ireny Ładosiówny i Józefa Klejera, wskrzesiciele polskiego teatru na wyzwolonym skrawku naszej ziemi, wymienię śmiało, na złość snobom, nieśmiertelną „Moralność pani Dulskiej” i „Grube ryby”.

Z czasów błyskotliwego intermezza Władysława Krasnowieckiego — „Wesele” i „Dożywocie”, z Jackiem Woszczerowiczem w roli Łatki!

Za Antoniego Różyckiego, pierwszego — z nominacji — dyrektora powojennego Teatru Miejskiego w Lublinie, wystawiono m. in. „Lekkomyślną siostrę”, „Zemstę”, „Ich czworo”, „Nadzieję” Heyermanna, „Ziemie nieludzką” de Curela, gdzie śliczna, nieodżałowana Maria Gorczyńska grała niemal w drodze wyjątku poważną rolę dramatyczną, albowiem reżyserzy skazali ją za fenomenalną urodę na repertuar lekkich. Pamiętam w tych sezonach był jeszcze Mussetowski „Świecznik” (wielka zasługa reżyserska Karola Borowskiego), potem — w dniach pierwszego po wojnie lubelskiego Festiwalu Sztuki — „Pan Jowiński”, wreszcie, na pożegnanie dyrekcji Antoniego Różyckiego — „Adwokat i róża”.

Po Różyckim przyszedł Maksymilian Chmielarczyk, aktor o szczerym talencie, niedocenionym, bo za mało demonstrowanym na scenach stołecznych. Człowiek wielkiej dobroci, dyrektor miękki, ale widocznie twarda ręka nie jest największą kwalifikacją dyrektorską, skoro właśnie ten, którego koledy nazywali tout court „Maksiem”, utrzymał się u nas na stolcu dyrektorskim najdłużej: całych pięć lat.

Za Chmielarczyka zaczęłam pracować w teatrze w charakterze kierownika literackiego... Wiadomo, że teatr to królestwo fikcji. Jedną z nich jest „kierownictwo” literackie. Tak zwany „kierownik” literacki niczym w teatrze nie kieruje, gdyż żaden szanujący się dyrektor „kierować” sobą nie pozwoli, co daje wyraźnie do zrozumienia „kierownikowi” literackiemu, a dyskretnie — radzie artystycznej. Jednak jeśli dyrektor nie ma kompleksu „Zosi-samosi”, to potrafi korzystać z pomocy współpracownika literackiego. Żadną „linią” sobie jednak głowy zawracać nie da. Otóż z Chmielarczykiem można było współdziałać dość dobrze i tuszować, że nie bez mojego wpływu ukształtował się repertuar, w którym znalazły się m. in. takie pozycje, jak choćby „Dwa teatry”, „Pigmalion” czy „Świętoszek”. W tym okresie przyjechała do nas po raz pierwszy Zofia Modrzewska, aby wyreżyserować Priestleyowskiego „Inspektora” i „Poskromienie złośnicy”. Została na następny sezon, który rozpoczęło najlepszą komedią Morstina, „Obroną Ksantypy”.

Potem wystawiliśmy „Wesele Figara”, „Zolnierza i bohatera” oraz „Skapca”, na jubileusz 35-lecia pracy scenicznej Chmielarczyka. A na jesieni 1949 r. nas upaństwowiono i otwarliśmy sezon bardzo uroczysty „Latem w Nohant”, z wielką wystawą w hallu związaną z Rokiem Chopinowskim, którą zorganizował mój mąż, bibliograf Edward Wrocki. Na premierę przyjechał Jarosław Iwaszkiewicz, nastrój był bardzo przyjemny. W tym samym sezonie teatr grał m. in. „Jęgora Bułyczowa”, „Psa ogrodnika” Lope de Vegi, „Niemców” Kruczkowskiego... Kruczkowski, pamiętam, dla odmiany zjechał na jedną z wczesnych prób i tak się wystraszył, że nie miał już odwagi pokazać się na premierze, a szkoda, bo przedstawienie wypadło bardzo dobrze! Kolejnym sukcesem były „Damy i huzary” i „Chory z urojenia”, na którego namówił Chmielarczyka nie bez trudu, gdyż bał się grać Argana ze względu na brak tuszy, jak mu się wydawało — nieodownej. Potem w „Sprawie Pawła Eszteraga” odnosiła triumfy Eleonora Ossowska — tragiczna matka (poprzednio też w „Niemcach” jako Pani Soerensen). A szczytowym osiągnięciem teatru stała się „Balladyna”, o której pisano w Biuletynie CZTOF, iż była to jedna z czterech najlepszych inscenizacji w Polsce. Sukces wynagrodził nam sówicie kłopoty, jakie mieliśmy z „nadprzyrodzonym piorunem zabijającym Balladynę”. Biedziłiśmy się nad nim razem z Kazimierzem Wyką, któregośmy zaprosili do Lublina na parę dyskusji.

Jeszcze za Chmielarczyka też był „Wieczór Trzech Króli”, i były „Śluby panieńskie”, i „Poemat pedagogiczny”, w którym Chmielarczyk grał Selancjusza Ojczenasza... Ale już nie grał do pełnego wygrania sztuki, ponieważ w tym okresie dojrzał właśnie u nas kryzys teatralny, tak dalece nieusprawiedliwiony i intrygancki, że biedny Chmielarczyk przyplacił go zawałem serca.

Długo jeszcze po tym, jak straciłszy tego sympatycznego, „ciepłego” aktora, padało przy omawianiu obsady zdanie: „Chmielarczyk by to świetnie zagrał”... W ogóle gdy tak przeglądam dla wspomnienia pamięci stare programy teatralne, smutno mi się robi na widok nazwisk aktorów, co już nie żyją. Tytu ich: Karolina Lorenc, Leon Wollejko, Leon Gołębiowski, Roman Cirin, Jerzy Rygiel, Marian Kondracik (którego odprowadzało na cmentarz całe miasto)... Nie tak dawno dowiedzieliśmy się o śmierci Marii Wilkowskiej, dobrej aktorki i wspaniałego człowieka... Ostatnio zmarła Tamara Ojdanowska, która u nas grała m. in. Helenę w „Szczęściu Frania”.

Tych zabrała bezpowrotnie śmierć. Ale mówią Francuzi: „Partir c'est mourir un peu”, — w ten drugi sposób znikli z naszego horyzontu, wyjechali od nas — wymieniam w przygodnej kolejności — dzielny reżyser, uroczy aktor Czesław Strzelecki, dowcipna Alina Zeliska, Jerzy Sliwa, Halina Buyno, Mieczysław Łoza, Irena Malkiewicz, Hilda Skrzydłowska, Wiesław Michnikowski, Karyna Waśkiewicz, Juliusz Grabowski, Tadeusz Kosudarski, Irena Skwierczyńska, Irena Miszke, Stanisław Michalik, Marian Nowicki, Stanisław Gawlik, Piotr Kurowski, Jadwiga Grosman, Wiktor Biegański, Halina Łuszczewska, Lechosław i Sławomir Litwiński, Zygmunt Tadeusiak, Elżbieta Skorynińska, Zbigniew Woytowicz,

Lucjan Dytrych, Maria Drzewiecka, Maria Wojdalińska, Zofia Kucówna, Kazimierz Iwiński, Halina Ziółkowska, Zbysław Jankowiak, utalentowany inscenizator Jerzy Goliński, reżyser i scenograf Jerzy Ukleja, reżyserka Wanda Laskowska, scenografowie Teresa Targońska i Krzysztof Pankiewicz z Krakowa i inni, i inni, i inni...

Wymieniłam tylko najzdolniejszych, zapewne też nie wszystkich. Wymieniłam nie po to, by zapisać ich na stratę lubelskiego teatru, ale po to, by przypomnieć, jacy dobrzy aktorzy występowali na naszej scenie w okresie piętnastolecia. A zwłaszcza, iż pominęłam tych, którzy w okresie „stołeczny” Lublina i bezpośrednio postołeczny byli tu, rzecz można, przelotnie. Wolno mi też uświetnić mój spis nazwiskami Jana Kreczmara, Jerzego Wyszomirskiego i Jana Świdorskiego, reżyserujących w naszym teatrze gościnnie. Również „robili” u nas sztuki Maria Wiercińska, Irena Ładosiówna, Gustawa Błońska, Janina Orsza-Łukasiewicz...

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do listy tytułów. Gdy nastał nam dyrektor Ukleja, który wytrwał ponad rok, repertuar staje się wręcz wzorowy. Wyrzucić z niego warto byłoby chyba tylko „Sześć godzin ciemności”. Teraz Lublin zobaczył takie niezawodne sztuki, jak „Szkoła kobiet” Bogusławskiego, „Mąż i żona”, „Panna Maliczewska”, „Grzegorz Dymala”, „Głupi Jakub”. Wydaje mi się, że J. Ukleja znalazł jakąś receptę na repertuar, gdyż nawet nowoczesne sztuki: „Wielka gra” Makarczyka, „Takie czasy” Jurandota, „Młodość ojców” Gorbatowa, „Dom na Twardej” Korcellego — były wówczas z najlepszych w swoim gatunku.

Lecz „kadencja” skończyła się na „Skradzionym szczęściu”. Nastąpił ponownie kryzys. W charakterze „pogotowia” objął dyrekcję Wiktor Biegański, niedługo jednak popasał. Wystawiwszy „Kandydę”, „Fircyka” i „Pana Damazego”, przekazał kierownictwo duumwiratowi: Wandzie Laskowskiej (kierownik artystyczny) oraz Zdzisławowi Lorenowiczowi (dyrektor administracyjny). Poza słabym, efekciarskim sztuczkiem Maccolla „Zatrzymać pociąg”, zrealizowali oni wspólnymi siłami także świetne i nobliwe pozycje, jak „Mazepa”, „Igraszki z diabłem” Drdy, Mussetowskie „Kaprysy Mariany”, „Wassa Zeleznowa”, Lope de Vegi „Nauczyciel tańców”, Shawa „Uczeń diabła”. Nadto dano zabawną komedię Breala „Huzarzy” i interesującą sztukę Krzysztofa Gruszczyńskiego „Klucz od przepaści”.

Osielono po wyjeździe W. Laskowskiej, Zdzisław Lorenowicz wystawił z kolei arcydowcipną komedię Swinarskiego „Ararat”, „Fantazego”, bagatelkę Fredry „Gwaltu, co się dzieje”, awangardowo reprezentacyjną, lecz śmiertelnie nudną „Dziewczynę za wiatr” Obeya i od tego momentu jakby przestał mieć szczęście do repertuaru, z którego warto wymienić już tylko „Intrygę i miłość” oraz „Nie igra się z mifością”, uroczę przedstawienie, zrobione przez Modrzewską. Ostatecznie pokazanie Ibsenowskiej „Nory” może też zastępuje na wzmiankę, niezależnie od scenografii, niefortunnie pomyslanej przez W. Krakowskiego.

Repertuaru bieżącego, realizowanego od chwili objęcia dyrekcji przez Jerzego Toronczyka, wieloletniego, zasłużonego scenografa lubelskiego teatru, nie trzeba przynosić. Lublinianie mają w żywej pamięci „Pannę meżatkę”, „Marię Stuart”, „Klątwę”, „Zaklinaczka deszczu”, „Zielonego gila”, Zawisze Czarnego” — zwłaszcza „Zawisze Czarnego”, wielkie osiągnięcie Jerzego Golińskiego — wreszcie ultranowoczesnego „Jonasza i Błazna”...

Nie chodziło mi tutaj o periodyzację działalności teatru według poszczegól-





# POCHWAŁA nieco skażona zrządzeniem

(Dokończenie ze str. 6)

nej, którzy jednak pisali muzykę nieciekawą i wtórną. W ZSRR nie gra się dwudziestu kilku symfonii Miaskowskiego.

Jeśli Filharmonia Lubelska pragnie, aby następny sezon koncertowy był na tym samym poziomie artystycznym, co i dwa sezony poprzednie, to musi zrezygnować z napaści złych gustów i niewyrobionego smaku urzędników warszawskich i nieświadomej, bo muzycznie nierozwiniętej, publiczności. Dyrektor Cwojdzinski obiecał mi, że, wbrew oporowi chóru, Rapsodia na alt Brahmsa będzie!

Nie wierzę natomiast, że w przyszłym sezonie usłyszymy „Koncert na orkiestrę” i „Muzykę żałobną” Lutosławskiego. Potrafiłbym to uzasadnić, mogę się założyć i pragnę zakładać. Na korzyść wszystkich tych, którzy podobnie jak i ja stali się wewnętrznie bogatsi dzięki Państwowej Filharmonii Lubelskiej. A mimo to...

„Pokażcie mi taką szkołę, w której by nauczano jak należy odczuwać”. Nie mogę wskazać Diderotowi, że taką szkołą jest w Lublinie nasza Filharmonia. Sam jeden jestem o tym przekonany i sam w to wierzę głęboko i tej szkole chciałbym, aby wręczono wysokie odznaczenie państwowe.

Zbigniew Wielicki

# PARTYZANCI - ludowi herosi

(Dokończenie ze str. 13)

co jędrne i obrazowe. Jego żołnierze „ścinają nieprzyjaciela ołowiem i stalą”, w czasie bombardowania „z namiotów lecą strzepy jedwabiu, tak jak w upalny dzień motyle”, „automat partyzancki przygważdża do ziemi nieprzyjaciela, jak chłop żmije rosochatym kijem”.

Las dla ludzi Kunickiego stał się żywiołem. Smak anegdoty mają w tym względzie uwagi Kunickiego o lotnikach angielskich, którzy przez pewien czas przebywali w leśnym „piekle”, tak dalece sobie obcy. Kunicki wierzy, że przyroda świadomie współdzia-

ła z partyzantami. Przed bitwą „ptaki przestają śpiewać”, a konie „parskając dają znać, że będzie jeszcze bitwa”. W okrążeniu partyzanci z braku wody piją końską krew, a własny mocz służy im do ochładzania rozpalonych do czerwoności łuf, mrówki oczyszczają koszule od wszy i wykonują wyrok śmierci na szczególnie okrutnym wrogu, przywiązany do drzewa. Rany postrzałowe leczy się przy pomocy brzoźówki, tj. gałązek brzozy zalewanych samogonem, choroby — ziołami. Kunicki ma zresztą naturalne sposoby we wszystkich sytuacjach. Np. materiał wybuchowy z niewypalonych bomb niemieckich wydobywa wkładając je do kotłów z wrzącą wodą. Topiący się trytol spływał do naczyń, twarzniał i... wyrzucił w powietrze niemieckie transporty. Pomysł swoje czerpie z mądrości ludu, z którego się wywodzi i z którym wiąże się mocnymi więzami przywódcy ludowej rebelii.

Sam o strukturze psychicznej raczej wrażliwej ma głębokie poczucie ludowej sprawiedliwości, a więc takiej, która zna jedynie dwa bieguny: miłość i nienawiść. Wroga potrafi żywcem zakopać ze jego okrucieństwo, swoich ludzi ochrania, narażając dla nich swoje życie, martwi się o ich losy wiele lat po wojnie. Ale gdy jedna z sanitariuszek w wyjątkowo niebezpiecznej chwili przekracza rozkaz, nie waha się wymierzyć jej, w obecności księdza, kary chłosty.

Mikołaj Kunicki jest dzisiaj skromnym, choć wyróżnionym najwyższymi polskimi i radzieckimi orderami, mieszkańcem Zamościa. Pracuje jako kierownik transportu w skupie zwierząt rzeźnych. Jego charakterystyczna sylwetka „ludowego Wołodyjowskiego” pojawia się czasami na trybunie obchodów ku czci bojów partyzanckich, przemawia wtedy żarliwie, ale nigdy o sobie, lecz o swoich partyzantach, których wiodł szczęśliwie od bitwy do bitwy przez lata okrutnej wojny.

Był jednym z tych, którzy ołowiem i stalą przebijali drogi do niepodległej Polski Ludowej.

Zygmunt Mańkowski

P. S. Z niesmakiem przeglądałem ostatnio wersję pamiętników Kunickiego drukowaną w „Głosie Ziemi Lubelskiej” pod nazwiskiem E. Pawłowicz (!). Należy założyć energiczny protest przeciwko szerzącym się coraz liczniej praktykom wykorzystywania relacji byłych partyzantów do pisania rzekomo własnych elaboratów. Nie uczyniła tego na szczęście Wanda Zółkiewska, która przygotowała rękopis Kunickiego do druku z pełnym pietyzmem oraz poprzedziła go wnikliwym, inteligentnym wstępem.

\*Mikołaj Kunicki; Pamiętnik „Muchy”, Warszawa 1959, wyd. MON, s. 438.

3. utworzył młody, ambitny zespół, który chce się rozwijać i doskonalić na dobrym repertuarze.

To są te zasadnicze osiągnięcia, które powinny stanowić o dodatniej ocenie działalności teatru, niezależnie od „falowania”. Bo nie wierzę, gdy ktoś wam powie, że rozwój jakiegoś teatru jest procesem stałym, równym jak drut i nieprzerwanym. W najznakomitszych teatrach było i jest „falowanie”, były i są „zygzaki”. Idzie jedynie o to, by nie dochodziło do generalnego uwiązania.

Chciałoby się jeszcze tylko apelować na zakończenie do krytyków piszących i mówiących: dostrzegajcie, mili, wielką i trudną pracę ludzi teatru!

Maria Bechzyc-Rudnicka

# CHRONIMY przed NIEPAMIĘCIĄ

Muzeum w Lublinie, wspólnie z Wydziałem Kultury WRN przygotowało na uroczystości XV-lecia wystawę lubelskiej sztuki ludowej. Oprócz niej czynna jest również stała ekspozycja z tego zakresu, obejmująca bogaty wachlarz twórczości ludowej naszego regionu. Obie wystawy uzupełniają się wzajemnie, dają przegląd dawnej i nowej sztuki ludowej od XVIII wieku do współczesności. Związana wystawa sztuki współczesnej potwierdza w pełni konieczność gromadzenia przez muzeum okazów twórczości ludowej, która coraz bardziej zanika. Nic tutaj nie pomogą dyskusje, nie da się bowiem uniknąć faktu, że wielu artystów nie pozostawi po sobie żadnych następców, że coraz to nowe gałęzie sztuki ludowej przestają istnieć. Lubelszczyzna posiada nadal dość silnie rozwiniętą ceramikę i tkactwo, ale inne rodzaje twórczości, np. niegdyś słynne kowalstwo artystyczne czy wycinarkstwo, przejdzie w najbliższym czasie do historii i... muzeum. (Obecnie mamy za ledwie paru żyjących twórców). Stąd prowadzone od szeregu lat intensywne prace badawcze naszych etnografów i stałe powiększanie zbiorów, których liczba w zakresie samej tylko sztuki ludowej przekroczyła już 5.000 okazów.

Pisząc o tym dziele, tak bogato w okresie XV-lecia rozwiniętym, nie sposób zapomnieć obrazu zniszczenia, jakimi przedstawiały nieliczne zachowane eksponaty ocalałe po okupacji. Na liście strat muzeum zabytki etnograficzne zajmowały pierwsze miejsce, a te które ocalały, wymagały wielkich zabiegów konserwatorskich, zwłaszcza stroje ludowe, w 2/3 zniszczone przez moce.

Dzisiaj posiadamy już niemal pełną dokumentację twórczości ludowej naszego regionu, zebraną w ciężkich warunkach (zwłaszcza że do tej pory muzeum nie może uzyskać własnego środka lokumocji). Dział ten — już w tej chwili stanowi dla badaczy sztuki ludowej prawdziwą kopalnię tematów i niespodzianek.

Trudno zaprzeczyć, że punktem zwrotnym w rozwoju muzeum stało się przeniesienie do nowych pomieszczeń na Zamku i urządzenie obszernych ekspozycji. Nowa siedziba, będąca stałym ośrodkiem zainteresowania, wpłynęła niewątpliwie na większe spopularyzowanie muzeum i jego zbiorów wśród szerokiej rzeszy publiczności. Szczególnie daje się zauważyć znaczny wzrost frekwencji dorosłych. W dawnym lokalu muzeum, przy ul. Narutowicza 4, przewijała się na wystawach głównie młodzież — 65 proc. ogólnej liczby osób.

Dzisiaj młodzi miłośnicy muzeum nie stanowią więcej niż połowę zwiedzających. A kiedy się zestawimy cyfry frekwencji z lat 1948 — 21.000 i 1957 — 85.000, nie trzeba udowadniać, jak bardzo zmienił się stosunek społeczeństwa do muzeum i jak bardzo stało się ono obok innych instytucji kulturalnych potrzebne. Dla kontrastu podam jeszcze tylko jedną cyfrę: według sprawozdania z działalności muzeum za rok 1938 liczba dorosłych odwiedzających muzeum — wynosiła 313 osób.

Muzeum w Lublinie posiadało przed II wojną światową interesujący zespół obrazów malarzy polskich, a nawet

obcych. Najcenniejsze z nich figurują, niestety, na liście okupacyjnych strat, dlatego też prawdziwym wydarzeniem było otwarcie w 1957 r. galerii malarstwa polskiego od gotyku do XX w. Dział ten najbardziej atrakcyjny i cieszący się dużym uznanie, ma przed sobą dalsze możliwości rozwoju. W projektowanym nowym gmachu, który dobuduje się do lewego skrzydła zamku, znajdować się będą sale galerijne stwarzające właściwe warunki do ekspozycji posiadanych przez muzeum obrazów. Z myślą o tych perspektywach muzeum zakupuje szereg obrazów dawnych i współczesnych, uwzględniając również w szerokim zakresie malarstwo lubelskie.

Lublin jest miastem, którego zabytki są chętnie malowane i rysowane przez wielu artystów. Jak bogata ilościowo jest lista odtwórców uroków naszego grodu, okazało się dopiero wtedy, kiedy muzeum zaczęło gromadzić obrazy, grafikę i rysunki o tematyce lubelskiej. Zaczęło się gromadzenie bardzo skromnie w 1949 r., kiedy to od jednego z prywatnych zbieraczy kupiono kilka litografii do rysunków A. Lerue przedstawiających zabytkową architekturę Lublina. Dzisiaj dział ten obejmuje blisko tysiąc pozycji, nierzadko bardzo cennych jak np. gwasze Aleksandra Gieryskiego czy autolitografie Leona Wyczółkowskiego. Z chwilą rozszerzenia pomieszczeń ekspozycyjnych muzeum, dział ten będzie wyeksponowany. Ciesząc oczy nowymi blokami mieszkalnymi, zmieniającymi z dnia na dzień oblicze naszego miasta, można będzie wybrać się od czasu do czasu do muzeum i z lekką w oku odnaleźć urok zabytkowych uliczek i zaułków, których już dawno nie ma.

I. I.

# Pani Maria

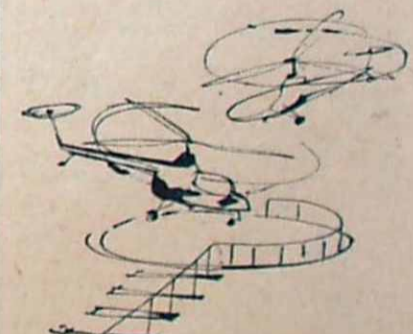
(Dokończenie ze str. 4)

To była moja jedyna rozmowa z panią Marią. Wywarła na mnie duże wrażenie. Wywarła na zawsze obraz starszej kobiety, matki, która w ci-szy sielskiego ogródka powtarza słowa angielskie: I have, You have, ja mam, ty masz, mother, father — matka, ojciec, the country — kraj, ojczyzna.

Po kilku miesiącach, kiedy już pani Maria wraz z mężem wróciła z odwiedzin u syna, dowiedziałem się od jej sąsiadów i znajomych, że właściwie ta cała nauka języka angielskiego była niepotrzebna.

Kiedy pani Maria była tam — u syna — kiedy słyszała tylko język angielski, którym posługiwała się synowa, wnuczek John i również synemigrant, postanowiła nie przyznawać się do znajomości języka angielskiego. Rozmawiała tylko po polsku.

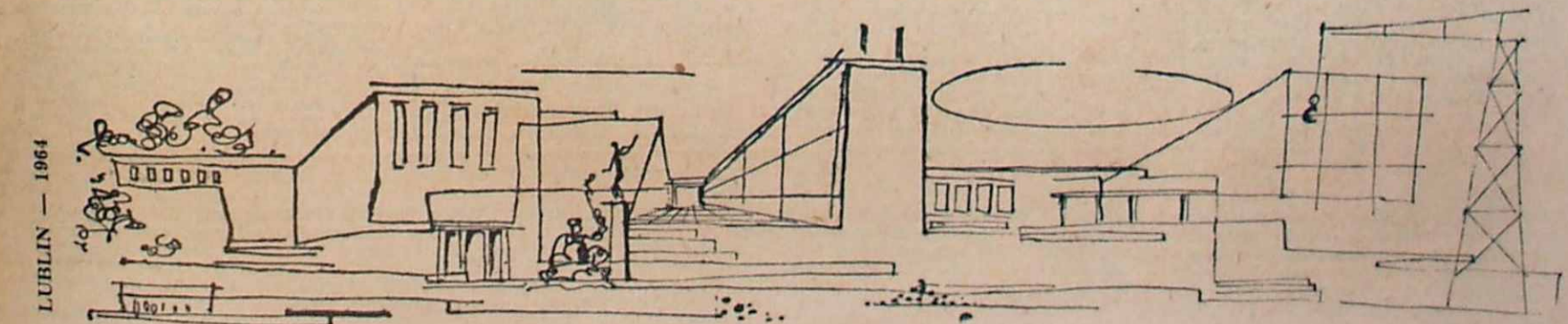
Zbigniew Stepek



nych dyrekcji, chciałam tylko przypomnieć coś niecoś z jego dorobku. A gdy się tak nurzałam w niniejszych wspominkach, ogarnęło mnie samą zdumienie na widok ogromu (utrwalonego programami) dorobku lubelskiej sceny dramatycznej. Pewno, że nie wymieniałam słabszych sztuk, ale patrzyłam, ileż było tych znakomitych! A ilu było i jest utalentowanych aktorów! I choć nie było, dalszob, wykonanej „linii”, to Lublin jednak doprawdy nie ma powodu uskarżać się na swój teatr. A teatr może być dumny, że:

1. pokazał społeczeństwu lubelskiemu mnóstwo arcydzieł literatury ojczyźnej i światowej,

2. zapoznał ze sztuką teatralną najszersze warstwy ludności, objeżdżając teren, bynajmniej nie zawsze w dogodnych warunkach,





# Goście i domownicy

(Dokończenie ze str. 11)

nej konwencji, 4) działalność usługo-widowiskowa Zespołu.

Zespół opracował widowisko pt. „Skrzypcowa ballada”. Obecnie pracuje nad nowym widowiskiem: „Spadkobiercy pana Ziółko”.

## NASZ TEATR

W 1956 r. w lubelskiej prasie ukazała się notatka zapraszająca miłośników teatru do Miejskiego Domu Kultury. Miłośników teatru na terenie miasta znalazło się wielu, bo w okresie 3 lat przez zespół „Nasz Teatr” przewidziano około 200 osób. Obecnie zespół liczy 30 osób.

„Nasz Teatr”, którego kierownikiem i reżyserem jest Zdzisław Siedlecki, wystawił siedem sztuk dając około 50 przedstawień rocznie. Ostatnią premierę tego zespołu stanowi „Krzysztof Salaburski”.

## CHOCHLIK

Porzucone dziecko WZSP znalazło opiekę w lutym 1959 r. w Lubelskim Domu Kultury. W tej chwili świetlica ta jest pierwszą filią Domu Kultury na terenie miasta. Zaspokaja potrzeby dzielnic 1 Maja. Posiada 5 zespołów artystycznych, które co niedzielę wyjeżdżają w teren. Świetlicę prowadzi Eugenia Bożyk.

## OGNISKO BALETOWE

Celém pracy ognisk baletowych jest upowszechnienie kultury tańca wśród dzieci i młodzieży z myślą o rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego. W oparciu o programy szkół muzycznych i baletowych nauka w ognisku dziecięcym trwa (zależnie od wieku dziecka) trzy do sześciu lat. Lekcje odbywają się dwa razy w tygodniu.

# D U Ź O C Z Y M A Ł O

(Dokończenie ze str. 3)

lożnicze, Pawilon Zakażny, Anatomopatologia, Epizootologia, Zakład Mechanizacji Rolnictwa, garaże i warsztaty, oraz centralna kotłownia. Oczywiście wszystkie kliniki, to domena wydziału weterynarii.

Trzecią z kolei część miasteczka stanowią domy studenckie na 2,5 tysiąca mieszkańców bez zagęszczenia, Dom Społeczno-Usługowy z centralną stołową, salą kinowo-teatralną, klubami, sklepami, zakładami usługowymi itp., Pawilon Zdrowia, Hala Sportowa z pływalnią krytą i otwartą, boiska i stadion.

I wreszcie część czwarta, to cztery bloki mieszkalne dla pracowników naukowych i administracyjnych oraz Dom Młodego Naukowca.

W przyszłości najbliższej, tzn. w II półroczu br. i w roku 1960, rozpoczyna się budowa Domu Społeczno-Usługowego, Biologii i Nauki o Ziemi, Zakładu Mechanizacji Rolnictwa oraz międzyuczelnianej biblioteki.

Tak wygląda dotychczasowy rozwój i możliwości na przyszłość „materiałnej bazy” lubelskich uczelni. Patrząc na te problemy możliwie obiektywnie i realnie, trzeba stwierdzić z satysfakcją, że jednak zrobiono w tej dziedzinie dużo, a nawet bardzo dużo jak na możliwości naszego niebogatego kraju.

A jak przedstawia się rozwój badań naukowych na poszczególnych katedrach? To już osobna sprawa.

Zofia Lawenda



Z serii „Ludzie Zamku”

Ognisko Baletowe Lubelskiego Domu Kultury pracuje od trzech lat. W pierwszym roku liczyło około 50 dzieci, w drugim 70, a obecnie 120. Rytmikę prowadzi: Maria Grodzka i Róża Sternik, taniec ludowy — Zbigniew Kwiatkowski.

Doroczne popisy, które już weszły w tradycję, są egzaminem nauczycieli i dzieci wobec rodziców i społeczeństwa.

## KURSY

Największym powodzeniem cieszą się na terenie miasta kursy tańca towarzyskiego i form towarzyskich, przez które przeszło już ponad 400 osób.

Oprócz tych kursów prowadzone są również przez L.D.K. kursy tkactwa artystycznego.

## KOŁO FOTOGRAFICZNE

Skupia dorosłych amatorów fotografii. Efektem pracy tego koła są wystawy fotograficzne. Dotychczas zorganizowano 3 takie wystawy oraz dwie wystawy fotograficzno-artystyczne. Organizowane są również przez to koło kursy dla fotoamatorów.

## SPOTKANIA Z MUZYKĄ

Każde środowisko wytwarza swoje kryteria oceny, swój styl, odrębny sposób muzycznego myślenia. Dlaczego zaczęliśmy organizować tak zwane „Spotkania — koncerty”? Ta forma pozwala nam nie tylko poznać wspaniałą muzykę, ale i wspaniałych wykonawców. W rozmowie z nimi nawiązując się ściślejszy kontakt, co sprawia, że łatwiej się słucha utworów, muzyka nieraz trudna staje się bliższa i zrozumiała.

Koncertowali już u nas: Halina Czerny-Stefańska, Lidia Grychtolówna i Władysław Kędra.

Będziemy urządzać nadal nasze „Spotkania — koncerty”, starając się, aby programy koncertów obejmowały różne epoki i style.

## MUZYKA

„7 Czarcich Łap”, to pierwszy zespół instrumentalny, który powstał przy Miejskim Domu Kultury. Bardzo szybko zespół ten zyskał zasłużoną popularność wśród miłośników jazzu.

Po dwóch latach istnienia zespół został rozwiązany, gdyż większość jego członków przeszła na studia lub stała się zawodowcami. Tradycje „Czarcich Łap” przejęły dwa młode zespoły instrumentalne, które już bardzo ciekawie się zapowiadają.

Oprócz instrumentalnych istnieje na Zamku zespół wokalny prowadzony przez prof. Adolfinę Szałańską.

## FILM W L. D. K.

Lubelski Dyskusyjny Klub Filmowy „Zamek” istnieje już trzy lata. W tym okresie na ekranie klubowym wyświetlono m. in. kilkanaście najlepszych filmów kinematografii światowej. Członkowie klubu mieli możliwość zapoznać się z dziełami takich twórców jak Charlie Chaplin, Fritz Lang, Sergiusz Eisenstein, René Clair czy Orson Welles.

## AMATORSKI KLUB FILMOWY „ZAMEK”

Amatorski Klub Filmowy „Zamek” powstał z sekcji warsztatowej L.D.K.F. Młodzi założyciele i twórcy klubu mają ambitne plany na przyszłość — realizowane będą co dwa tygodnie

# NOTY

ZAKOŃCZYŁA SWÓJ ŻYWIOT z końcem czerwca „Trybuna Literacka”. Żegnając się, a właściwie nie żegnając jeszcze, z czytelnikami, redakcja zapowiada, że „niektóre stałe rubryki dodatku” „postara się” utrzymać w „Trybunie Ludu”, która w niedzielnym numerze będzie szerzej uwzględniała sprawy kultury i sztuki. Niech więc przede wszystkim zostanie utrzymana rubryka językowa: „Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. Jak bardzo jest ona pożyteczna i potrzebna, świadczy o tym chociażby fakt, że nawet redaktorzy, którzy ją słusznie do „Trybuny Literackiej” wprowadzili, nie ustrzegli się błędów językowych w słowie „Do czytelników”, pisząc o swym piśmie: „Nie sposób... pominąć jego dorobek w zakresie upowszechnienia kultury”. Accusativus tromtadraticus.

kroniki filmowe z życia naszego miasta, oraz filmy krótkometrażowe. Będzie je można oglądać w kinie klubowym na Zamku zaczynając od września.

Dodać należy, że A.K.F. ma już za sobą kilka kronik filmowych oraz dwa filmy krótkometrażowe.



PLASTYKA

L.D.K. zorganizował Wystawę obrazów Tadeusza Kanfora, Mariana Bogusza, Teresy Rudowicz, Andrzeja Łabinię, Przegład Prac Plastyków Amatorów i Wystawę Sztuki Dziecka.

Przegład Prac Plastyków Amatorów był jednocześnie rozpoczęciem działalności Wojewódzkiej Poradni oraz nawiązaniem kontaktu z plastykami amatorami z terenu woj. lubelskiego.

## OSRODEK SZACHOWY

— prowadzi wielokrotny mistrz szachowy Józef Gromek. Osrodek skupia trzydzieści parę osób. W L.D.K. odbywają się organizowane przez Związek Szachistów mistrzostwa okręgu.



Rysunki na str. 14 i 15 Teresy Targońskiej

W DNIACH 4 ŚWIATOWEGO KONGRESU ESPERANTYSTÓW W WARSZAWIE odbędzie się w języku esperanto wykłady uniwersyteckie dla uczniów specjalistów z Włoch, Wielkiej Brytanii, Jugosławii, Austrii i Polski. Prelekcje będą związane z międzynarodowym Rokiem Darwinowskim, z medycyną, literaturą, fizyką, filopatologią i astronomią. O tysiącleciu Polski mówić będzie prof. Szablowska. Rektorem tegorocznej Sesji Uniwersyteckiej jest prezes PAN prof. T. Kotarbiński.

W WIOSENNYCH NUMERACH „TWÓRCZO-SCI” znajdziemy nową rubrykę — Przegład zagraniczny, informującą czytelnika o ciekawszych sprawach poruszanych przez bieżącą prasę artystyczno-literacką w Anglii, Francji, Niemczech i Włoszech. Z rubryki tej dowiadujemy się, że w ostatnim numerze „Les Lettres Nouvelles” mówi się o „Ferdynandzie” Gombrowicza jako poważnej kandydaturze do dorocznej nagrody za najlepszą książkę zagraniczną wydaną w Francji.

-kaj-

# Upowszechnienie wiedzy

L.D.K. ciągle szuka coraz właściwszych metod. Zaczęliśmy od odczytów pomyslnych jako „Spotkania z Nauką”, ale szybko doszliśmy do wniosku, że nie tędy droga. Zorganizowane później „Wycieczki w czasie i przestrzeni” były już bardziej udane. Prelegent stał się przewodnikiem po zwiedzonym kraju, a filmy i przezroczka pomagały wyobraźni. Wstawki muzyczne i recytacje związane z tematem uzupełniały całość. „Jeździliśmy” w ten sposób na Koreę, Węgry, do Grecji, Finlandii, Jugosławii i Indii. Nasze bezdewizowe wycieczki cieszyły się powodzeniem szczególnie wśród młodzieży i od września zaczniemy znowu podróżować.

„Człowiek kulturalny umie zachować się w przyrodzie” — w myśl tej zasady zorganizowaliśmy z pomocą Ligii Ochrony Przyrody kurs „Przewodników Ochrony Przyrody”. Zarówno uczestnicy kursu (młodzież szkolna), jak i organizatorzy postanowili kontynuować tego rodzaju prace w nowym roku szkolnym.

Rozumiemy, że upowszechnianie wiedzy i kultury jest tym skuteczniejsze, im zaczyna się wcześniej. Zaczynamy od „poniedziałków rodzicielskich”, które wprawdzie mają małą frekwencję, ale za to bardzo wierne słuchaczki.

Po dziesięciomiesięcznych próbach i doświadczeniach doszliśmy już do pewnych wniosków: przede wszystkim musimy zacząć od przygotowania odbiorców, zaczynając od członków kół i zespołów L.D.K., którym należy ułatwić pogłębienie wiedzy zgodnie z kierunkiem ich zainteresowań.

Chcemy także, informować społeczeństwo o pracach L.D.K. Na tej podstawie od września wprowadzamy nową formę imprez: każdy zespół L.D.K. lub Koło raz w roku „przedstawia się” w imprezie otwartej, na którą złoży się prelekcja i pokaz lub wystawa.

## Odpowiedzi Redakcji

P. P.

And. Mac. Lob. w Krakowie. Prosimy o cierpliwość: materiał jest tak obfity, że zdołaliśmy tylko z grubsza z nim się zapoznać. Na razie, nie czyniąc żadnych obietnic, z przyjemnością stwierdzamy, że tworzy świadczą o Pańskich możliwościach piśmienniczych.

Jan Loh, w Krzesimowie. Jak wyżej. And. Rysz. Koz. w Pionkach. Przede wszystkim musimy wywiązać się z dawnej obietnicy („Krzyk pawia”), co uczynimy w jednym z jesiennych numerów. A „surrealizm” Hall Gasienicowej nas przeraził.

Tad. R. w Warszawie. Podobają się nam Pańskie wiersze („W piwnicy”, „Zaślubiny”), a zwłaszcza te przysłane w drugim rzucie. Zatrzymujemy „Słowika”, „Shelley’a” i „Przez dwa dni”. „Słowik” ze względu na temat ukaże się już w sierpniu. Na pozostałe wypadnie poczekać dłużej.

Bogd. Just. w Gdańsku. Zatrzymujemy jesieninowski „Zachód”. J. Fel. w Łodzi. Dziękujemy. Na razie nie skorzystamy.

E. Dąb. K. w Łodzi. Wiersze Pani — interesujące. Może zamieścimy „Dedykację” lub „Chwałę śmietnikom”. Ale kiedy? Klomętowa kolejka.

M. O. w Warszawie. Dziękujemy. Zatrzymujemy „Marz turecki”. W. Str. w Białej Podlaskiej. Część wierszy znaleźliśmy już. Z nowych najciekawsze chyba „Mijane wystawy”.

Do wszystkich autorów nadsyłanych wierszy. Czekające swej kolei, zakwalifikowane już do druku wiersze starczą na kilkanaście numerów „Kamenu”, która poezji może udzielić stosunkowo niewiele miejsca. W związku z tym prosimy o wstrzymanie się na razie z nadsyłaniem redakcji materiału tego rodzaju.